wrzesień 2013 * nr 8 * vol 1

egzemplarz bezpłatny

PRZYMAT

bialski miesięcznik społeczno–kulturalny

Przymat ISSN 2300-018X

Wielki błękit Kuby

Mistrz szybowcowy Jakub Barszcz

1 września 1939 – pamiętnik żołnierza

Strasznie intrygujący debiut pisarski

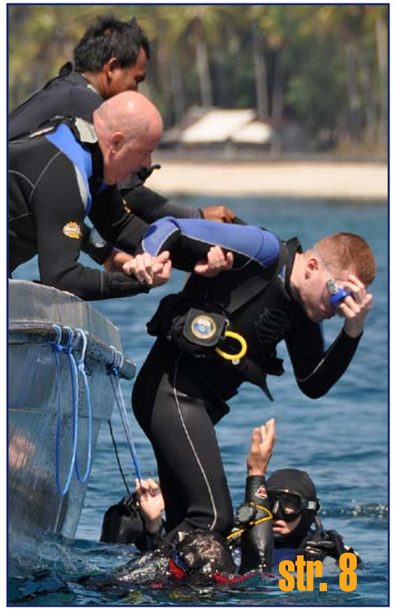

fotografia
Biała Podlaska dawniej i dziś – ul. Jatkowa 4

społeczeństwo
Wielki błękit Kuby 8

ludzie
Miałam zaszczyt tu uczyć – rozmowa z Lucyną Jóźwik, emerytowaną nauczycielką biologii w I Liceum Ogólnokształcącym im. J.I. Kraszewskiego 14

sport
W powietrzu nie mam czasu na nudę – rozmowa z porucznikiem Jakubem Barszczem, szybowcowym wicemistrzem Europy 16

kultura
Sny Edyty, czyli „strasznie" intrygujący debiut bialskiej pisarki 20

historia
1 września 1939 – pamiętnik żołnierza frontowego 22

miasto
Bohaterowie bialskich ulic – ul. Juliusza Krzyżanowskiego 23

młodzież
Jak to na plenerku ładnie 26

biznes
Ziomek z Makulatury 30

do-słownie
Plaża na betonie 31
Emily Giffin „Dziecioodporna" – recenzja książki 31

moda
Szkoła 32

świat od kuchni
U Kasi lepiej jak w domu 36

ciało i duch
Na ruch nigdy nie jest za późno 27

foto Piotr Stós

PRYZMAT Biała Podlaska ISSN 2300-018X
Biała Podlaska, ul. Marszałka Józefa Piłsudskiego 3
Koordynator wydawcy: **Renata Szwed (r), tel. 83 341 61 44**
Redaktor naczelny: **Andrzej Koziara (ak), 690 890 580**
Redakcja: Renata Szwed, Katarzyna Fronc, Max Twardowski, Radosław Plandowski, Małgorzata Nikolska, Ludwika Maryńczak, Katarzyna Filipiuk,
Foto: Małgorzata Piekarska, Elżbieta Pyrka, Zofia Mikonowicz, Krzysztof Staniszewski, Jarek Domański, Maciej Jencz, Jakub Szymański, Bartłomiej Kuczer, Piotr Rekucki, Karol Sudewicz, Robert Sozoniuk, Andżelika Żeleźnicka, Tomasz Łukaszuk, Aleksandra Malesa, Paweł Romański
Druk: Top-Druk, 18-402 Łomża, ul. Nowogrodzka 151A
Wydawca; Urząd Miasta Biała Podlaska, 21–500 Biała Podlaska, ul. Marszałka Józefa Piłsudskiego 3
e–mail: pryzmat@bialapodlaska.pl, www.facebook.com/magazynpryzmat
Nakład: 3000 egz. Egzemplarz bezpłatny.
Treści zawarte w czasopiśmiePryzmat Biała Podlaska, chronione są prawem autorskim. Wszelkie przedruki całości lub fragmentów artykułów możliwe są wyłącznie za zgodą wydawcy. Odpowiedzialność za treści reklam ponosi wyłącznie reklamodawca. Redakcja zastrzega sobie prawo do dokonywania skrótów tekstów, nadawania śródtytułów i zmiany tytułów. Nie identyfikujemy się ze wszystkimi poglądami wyrażanymi przez autorów na naszych łamach. Nie odsyłamy i nie przechowujemy materiałów niezamówionych. Wszelkie prawa zastrzeżone. Wydawnictwo ma prawo odmówić zamieszczenia ogłoszenia i reklamy jeśli ich treść lub forma są sprzeczne z linią programową bądź charakterem pisma (art. 36 pkt. 4 prawa prasowego).

przez PRYZMAT

Andrzej Koziara

Nowy rok szkolny niesie ze sobą dużo nadziei. Dla uczniów, rodziców i dla nauczycieli. Ponieważ mój syn jest w wieku szkolnym, na co dzień słyszę o radościach i problemach szkół podstawowych. Mam też przyjaciół nauczycieli i rodziców uczniów. Każdy ma inne oczekiwania związane z nadchodzącym rokiem szkolnym. Generalnie króluje spychologia. Rodzice oczekują, żeby szkoła wychowywała im dzieci, a nauczyciele, żeby rodzice włączyli się w szkolne życie dzieci i w życie szkoły. Dzieci są pośrodku. Między szkolnym młotem i domowym kowadłem.
Są nauczyciele, którzy potrafią wydobyć z dzieci talenty i pokazać im drogę na resztę życia. Takich nauczycieli pamiętamy. Wielu ludzi, będąc już na szczycie w dziedzinie nauki czy sztuki, z niekłamaną wdzięcznością mówi o swoich nauczycielach, którzy potrafili ich zachęcić do rozwijania talentów. Bo talent to prezent od Boga, ale sukces to praca. A tu bez współpracy szkoły z domem będzie tylko rozczarowanie.
Bywają też inne przypadki. Znajoma kochała biologię. Jednak w drugiej klasie liceum zmieniono nauczyciela, który skutecznie zniechęcił ją do pogłębiania wiedzy i kontynuowania studiów. Skończyła historię sztuki. Dzisiaj jest nieszczęśliwa i do tej pory ma żal do nauczyciela, dzięki któremu znienawidziła uwielbiany wcześniej przedmiot.
Córka mojego przyjaciela chciała studiować romanistykę. Jednak jej nauczycielka francuskiego odmówiła dopuszczenia dziewczyny do matury. Na szczęście obyło się bez komisyjnego egzaminu. Na romanistykę dostała się z maksymalnym kompletem punktów.
Rodzice czasami także celują w utrudnianiu życia swoim pociechom. Królują tu własne niespełnione ambicje artystyczne i muzyczne. „Ja chciałam grać, ale rodzice nie zgodzili się na szkołę muzyczną, więc moje dziecko musi grać na fortepianie. Będzie Chopinem". Biedne dzieci są katowane muzyką, której nie czują, i fortepianem, którego nienawidzą. Zabieramy im dzieciństwo i możliwość rozwijania ich prawdziwych zainteresowań. Nie wszyscy wiedzą, że 80 procent dzieci, które kończą szkoły muzyczne nigdy później nie dotyka instrumentu.
Wielu rodziców stara się tak organizować zajęcia swoim dzieciom, żeby przypadkiem nie spędzać z nimi za dużo czasu. Jakby się tych dzieci bali. Basen, balet, pianino, angielski, teatr, karate i modelarstwo albo szydełkowanie. W niedzielę chór i coś tam jeszcze. Jakoś to dzieciństwo zleci. Dzieci zamiast mieć dom, mają mamę-kierowcę i tatę-bankomat.
Rodzice podobno robią to z miłości do dzieci. A dzieci chcą mieć rodziców, a nie wiecznie narzekających kierowców i zadłużone bankomaty przy niedzielnym stole. Nie bójmy się swoich dzieci. One wychowują się przez naśladowanie dorosłych. Jeśli nie damy im więcej siebie, to wychowamy następne pokolenie mamo-kierowców i tato-bankomatów.

A Koziar

BIAŁA PODLASKA

foto Adam Trochimiuk

1983

ADAM TROCHIMIUK – od ponad 30 lat fotograf prasowy z Białej Podlaskiej. Historyczne zdjęcia w naszej nowej serii DAWNIEJ I DZIŚ pochodzą z najnowszego albumu Trochimiuka "Tamten Świat". Album pokazuje Białą Podlaską i okolice w latach 80. ubiegłego wieku. Przez kilka następnych miesięcy będziemy prezentować najciekawsze zdjęcia z tego albumu. Każdemu z tych unikatowych zdjęć towarzyszyć będzie zdjęcie wykonane współcześnie przez fotografów z Białej Podlaskiej.

ULICA JATKOWA

foto Piotr Świderski

2013

Michał Trantau

CZAS PATRIOTÓW

Powstanie warszawskie, wybuch II wojny światowej... Obchodzimy mnóstwo rocznic związanych z bitwami, wojnami, mniejszymi bądź większymi konfliktami zbrojnymi. Kilometrowe kolejki delegacji składają kwiaty, oddają hołd, opowiadają o heroicznej walce i patriotyzmie. Czekają przy okazji na fotoreportera jednej z gazet, aby wykonał im zdjęcie na pierwszą stronę.

Jednak czy zastanawialiście się kiedyś, kto poszedłby walczyć, jeśli teraz, z dnia na dzień, w Polsce wybuchłaby wojna? Kto byłby na tyle odważny, aby wziąć bagnet w ręce i ruszyć na pole bitwy? Myślę, że ci wielcy patrioci znani z mediów schowaliby się nagle w cień, albo jak szczury, czym prędzej, wyemigrowali z kraju.

Oprócz zawodowego wojska do akcji wkroczyliby ci, których nie doceniamy, nie zauważamy, albo wręcz opluwamy...

Na pierwszy plan wyszliby ci, tak krytykowani w mediach głównego nurtu, „kibole". Przez pryzmat kilku idiotów, ocenia się całą grupę, która dam sobie uciąć obie ręce, że pierwsza zorganizowałaby wojenną partyzantkę. To właśnie oni posiadają niesamowitą wiedzę historyczną i kosztem własnego życia chcieliby, aby Polska była dalej wolna, bo wiedzą, ile niegdyś zginęło osób w walce. Byłby to pewnego rodzaju obowiązek wobec poległych.

Na pewno do boju ruszyłyby wszelkie organizacje jak „Strzelec", o której pisaliśmy już na naszych łamach. Niewykluczone, że na placu boju pojawiliby się harcerze. Na pewno do walki ruszyliby wszyscy, którzy w sercu mają Ojczyznę i zostali wychowani w typowo tradycyjnych, patriotycznych domach. Znając opowieści dziadków, ruszyliby tak jak oni na pomoc Ojczyźnie.

O tych, co nawet nie kiwnęliby palcem, pisać nie będziemy, bo oni dobrze wiedzą, kim są, gdzie by uciekli i jakie hasła dziś głoszą.

Warto też odpowiedzieć sobie na pytanie: co Ty byś zrobił w obliczu wojny? Czy byłbyś w stanie chwycić za bagnet? Mówiąc o grupach społecznych, możemy być pewni, która by walczyła. Mówiąc o jednostkach, na to pytanie jest ciężko odpowiedzieć. Zachęcam Was do przemyślenia takiej sytuacji. Czy byłbyś w stanie przełamać strach i bić się o swój kraj? Wiele razy zadawałem sobie to pytanie i nie otrzymałem stuprocentowej odpowiedzi. Jedno jest pewne. Nie uciekłbym jak tchórz z Polski i nie zostawiłbym swojej Ojczyzny na pastwę losu. Nasi dziadkowie i pradziadkowie już za dużo wycierpieli, abyśmy my musieli znów przez to samo przechodzić.

Miejmy tylko nadzieję, że już nigdy nie dojdzie do żadnego konfliktu zbrojnego, nie dojdzie nam kolejna rocznica do świętowania. Niech wystarczą nam te,

> „Co Ty byś zrobił w obliczu wojny? Czy byłbyś w stanie chwycić za bagnet? Na pewno do boju ruszyłyby organizacje jak „Strzelec". Niewykluczone, że pojawiliby się harcerze. Na pewno do walki ruszyliby wszyscy, którzy w sercu mają Ojczyznę i zostali wychowani w patriotycznej tradycji."

które są. Pamiętajmy o nich i myślmy ciepło o naszych narodowych bohaterach, których mamy mnóstwo. Nie tylko tych, znanych z kart historii, ale także tych anonimowych, poległych na polu walki. Tych, których ciał nigdy nie odnaleziono. Tych, o których bohaterstwie nawet nie wiemy.

Katarzyna Fronc

WOJNA, BABCIE I SKYPE

Podczas krótkiego urlopu nad polskim morzem, odkryłam w Sopocie Dworek Sierakowskich. W ogrodzie za zabytkową willą... piasek i leżaki. I przy nim letnia scena Teatru Boto. Żyć nie umierać! Tym bardziej, że praktycznie co wieczór a to recital, a to spektakl czy występ kabaretu. Do tego świece, lampiony i superklimat. Zamiast więc do dyskoteki, wieczorami chodziłam do teatru pod gołym niebem. Codziennie zapoznając się z repertuarem, nastawiłam się na „Emigrantów" Mrożka. Ambitnie – pomyślałam – ale przecież Sopot to nie tylko molo, Spatif i plaża (kolejność może być różna w zależności od pogody bądź nastroju). Niestety już na miejscu okazało się, że spektakl został odwołany – jak mi powiedziano – z przyczyn niezależnych od organizatora. No cóż. Bywa. Tydzień później Mrożek zmarł. Na emigracji.

> „Sonia, koleżanka mojej babci, przeżyła Holocaust, a zaraz po wojnie wyjechała. Znałam ją z babcinych opowieści – ładna, wesoła, uczynna. Babcia nieraz gościła w domu jej rodziców. Siadała z nimi do stołu. Jadła rybę i macę. Razem chodziły do szkoły, a potem ich losy rozdzieliła okupacja. Sonia nigdy tu nie wróciła."

Z dala od domu rodzinnego, znajomych kątów i ludzi bliskich sercu znalazła się też Sonia, koleżanka mojej babci, która przeżyła Holocaust, a zaraz po wojnie wyjechała z miasta. Znałam ją z babcinych opowieści – ładna, wesoła, uczynna. Babcia nieraz gościła w domu jej rodziców. Siadała z nimi do stołu. Jadła rybę i macę. Razem chodziły do szkoły, a potem ich losy rozdzieliła okupacja. Sonia nigdy nie wróciła do rodzinnego miasta.

Babcia przez lata wspominała swoją przyjaciółkę, nie wiedząc, czy przeżyła wojnę. Ale przeżyła. W Stanach doczekała się dzieci i wnuków. To właśnie drugie pokolenie Heleny i Soni niedawno skontaktowało je ze sobą. Dziewięćdziesięcioletnie babcie – choć na innych kontynentach – w końcu ze sobą porozmawiały. Z pomocą przyszedł skype. Tak! Dawne koleżanki zobaczyły się na komputerowych monitorach, i na zmianę, a to ze łzami w oczach, a to uśmiechem na ustach, wspominały dawne lata. Chwaliły się dziećmi i wnukami. Były szczęśliwe. Inaczej, niż kiedy się rozstawały.

Wojna większe piętno odcisnęła na Soni, choć i moja babcia pamiętała strach i ból po utracie brata. Pamiętała represje, jakie dotknęły jej rodzinę, kiedy inny brat uciekł z transportu na Majdanek. Widziała okrucieństwo Niemców, a później Rosjan. Ale to wszystko nie równa się z tym, co wojna zrobiła jej przyjaciółce. Często z rodzeństwem prosiłam babcię: Opowiedz nam o wojnie. – Znowu? – pytała dobrotliwie, ale mówiła. Pomijała oczywiście fragmenty, których małe dzieci nie powinny słuchać. Jak byliśmy więksi i co nieco liznęliśmy już historii, byliśmy w stanie wyobrazić sobie więcej niż babcia chciała nam opowiedzieć. Niż mogła.

Chętniej i pełniej opowiadała za to o swojej przygodzie z teatrem. Mam nawet jej fotografię wykonaną podczas jednego ze spektakli, w którym grała tuż po wojnie. Oczywiście nie wcieliła się w żadną w postać Mrożka, ale Zapolskiej i owszem. Taką babcię – uśmiechniętą, z kotem na kolanach – widzę, choć jej już nie ma. Sonia o jej śmierci dowiedziała się, kiedy zatelefonowała. To był dzień pogrzebu.

Cieszę się, że możliwości, jakie daje technika, pozwoliły „moim" babciom spotkać się w wirtualnym świecie, ale prawdziwym przecież. A wdzięczna jestem – jakkolwiek patetycznie to zabrzmi – za wolność i demokrację. Za paszport w szufladzie i za to, że mogę o tym wszystkim pisać. Tylko czasem się boję przejawów fanatycznego patriotyzmu, czy jak kto woli, pseudopatriotyzmu. A na myśl o zbrojnych interwencjach i politycznych układach mam gęsią skórkę, a w pamięci strofy wiersza Tuwima „O, przyjacielu nieuczony/ Mój bliźni z tej czy innej ziemi!/ Wiedz, że na trwogę biją w dzwony/ Króle z pannami brzuchatemi;/ Wiedz, że to bujda, granda zwykła,/ Gdy ci wołają: „Broń na ramię!",/ Że im gdzieś nafta z ziemi sikła/ I obrodziła dolarami./ Że coś im w bankach nie sztymuje,/ Że gdzieś zwęszyli kasy pełne/ Lub upatrzyły tłuste szuje/ Cło jakieś grubsze na bawełnę./ Rżnij karabinem w bruk ulicy!/ Twoja jest krew, a ich jest nafta!/ I od stolicy do stolicy/ Zawołaj broniąc swej krwawicy: „Bujać – to my, panowie szlachta!"

Wielki błękit Kuby

tekst Katarzyna Fronc, foto Piotr Stós

Nie chodzi od kilku lat. Coraz więcej problemów stwarza mu też mówienie. Ale kiedy zsiada z wózka inwalidzkiego, zakłada maskę i cały sprzęt do nurkowania, wszystkie troski odpływają, a on czuje się jak ryba w wodzie. Dosłownie. Jego pasję podziela cała rodzina, której życie toczy się od jednego wodnego safari do kolejnego.

Marta i Tadeusz Łukasik z Kubą

Kuba Łukasik, zanim choroba przykuła go do wózka inwalidzkiego, uprawiał różne sporty. Pływał, jeździł rowerem i na nartach. Tym większym dramatem było postępowanie choroby, która w końcu uniemożliwiła mu samodzielne poruszanie się. Ale wielki hart ducha nie pozwolił mu się załamać, tak samo jak jego rodzicom.

Jak wszystko się zaczęło...

Pierwsze niepokojące objawy wystąpiły u Kuby około szóstego roku życia. Na początku lekarze nie potrafili jednoznacznie powiedzieć, co jest chłopcu, który zaczął mieć problemy z utrzymaniem równowagi. W końcu padła diagnoza: ataksja Friedreicha, rzadka choroba genetyczna. Jest postępująca i nieuleczalna. W Polsce zdiagnozowaną ją u dwudziestu dwóch osób. – Wiem, że nie ma się czym chwalić, ale również nie ma co tego ukrywać. Być nieśmiałym czy zakompleksionym. Trzeba przeć do przodu, realizować swoje marzenia i stawiać dzielnie czoła przeciwnościom losu – mówi Kuba.

Jak wyjaśnia jego tato Tadeusz Łukasik, rodzinna przygoda z nurkowaniem zaczęła się w 2002 roku. – Kuba, wtedy jeszcze w gimnazjum, pojechał z klasą na narty. Niestety okazało się, że już sobie nie radzi. Miał coraz większe zaburzenia równowagi. To była wielka rozpacz – wspomina.

Rodzice postanowili więc, że skoro ten sport odpada, trzeba wymyślić coś innego. Marta Łukasik znalazła sposób, by umożliwić synowi aktywność ruchową, a jednocześnie razem z nim spędzać czas. Tak zaczęło się ich wspólne nurkowanie. – Tym teraz żyjemy – mówi mama Kuby. Znalazła instruktora, który przyjeżdżał do Białej Podlaskiej i nauczył ich, czego trzeba. – Na basenie mieliśmy zajęcia praktyczne, a u nas w domu teoretyczne. Później na dziesięć dni wyjechaliśmy nad jezioro Piaseczno i tam zrobiliśmy uprawnienia do nurkowania – wyjaśnia Tadeusz.

Sposób na chorobę

Choroba postępuje. Kuba potrzebuje już całodobowej opieki. Ma coraz większe problemy z mówieniem, ale z jego twarzy bije radość i chęć życia. – Sytuacja łatwa nie jest. Choroba to duże nieszczęście w rodzinie, ale staramy się jakoś nie dawać – zapewnia pogodnie Marta Łukasik. Kubie to właśnie nurkowanie pomaga walczyć z chorobą. – Chcę robić jak najwięcej, póki jeszcze mogę. Nurkowanie traktuję jako formę aktywnej rehabilitacji – mówi chłopak. Jego tato dodaje, że Kuba jest twardzielem. – W końcu przecież nurkowanie to sport ekstremalny – podkreśla, dodając, że pod wodą Kuba zapomina o niepełnosprawności. – W wodzie nareszcie czuję się wolny. Mogę zapomnieć o chorobie i na jakiś czas uwolnić się od wózka – wyznaje chłopak.

Odkąd rodzina Łukasików zdobyła uprawnienia, każdego roku wyjeżdżają nurkować. Najczęściej z ludźmi z Centrum Turystyki Podwodnej „Nautica" w Krakowie. – Jako jedyni w Polsce mają w swoich strukturach Stowarzyszenie Nurków Niepełnosprawnych. Są tam wyszkoleni instruktorzy. Jak oddajemy Kubę w ich ręce, jesteśmy pewni, że jest bezpieczny. My z mężem, jako para towarzysząca, płyniemy za nimi – opowiada pani Marta.

O swoim opiekunie-asystencie Piotrze Stósie i jego żonie, również instruktorze nurkowania, Kuba mówi, że to jego „nurkowi rodzice". Przyjaźnią się i są ze sobą bardzo zżyci. – W ogóle wszyscy ludzie z CTP „Nautica" są bardzo fajni. Chętnie spotykamy się nie tylko na wyprawach, ale na przykład na zakończeniu sezonu nurkowego – zapewnia Kuba.

W podwodnym świecie

Łukasikowie z synem nurkowali już w wielu miejscach na świecie. Zaczęli od Chorwacji i Egiptu. Potem była Hiszpania, aż w końcu dalsze i bardziej egzotyczne wy-

> „Dzięki nurkowaniu czuję się spełniony. Mogę przekraczać bariery, granice, które mam na co dzień. Łączę przyjemne z pożytecznym. Podziwiam wspaniałe podwodne widoki, a przy tym jestem w ciągłym ruchu”

prawy na Mauritius czy do Indonezji. – Ostatnio byliśmy rodziną na sylwestrowej wyprawie w Tajlandii. Dwa dni spędziliśmy na lądzie, zwiedzając, i pięć na łodzi nurkowej. Podczas takiego nurkowego safari można dziennie zrobić cztery-pięć nurków – mówi Marta Łukasik.

Jakub ma już ponad 150 nurkowań. A w świecie nurków niepełnosprawnych taka ilość to rzadkość, setny nurek to wielkie święto. Kuba obchodził je na Mauritiusie. – Teraz jesteśmy w trakcie realizacji naszego kolejnego marzenia, wyprawy na Kubę… – mówi mama chłopaka. On sam dodaje: – Moim marzeniem jest jeszcze nurkowanie w Meksyku oraz w Kenii.

Rodzice Kuby podkreślają, że nurkowanie to trudny sport nawet dla ludzi zdrowych. – Niepełnosprawni muszą pokonywać sto razy więcej różnych barier, a jednak nurkują, a potem wychodzą z wody i mają uśmiechy od ucha do ucha. Na takie widoki nie szkoda pieniędzy – zapewnia pani Marta.

Jednym z największych morskich stworzeń, z którymi bialscy pasjonaci nurkowania spotkali się oko w oko, była manta. – To gigantyczna ryba, której rozpiętość skrzydeł sięga do sześciu metrów. Jest absolutnie łagodnym stworzeniem, bo żywi się tylko planktonem. W Indonezji naszym marzeniem było, żeby ją spotkać. Udało się – cieszą się Łukasikowie. – Manta podpłynęła tak blisko, że omal nie strąciła mi maski nurkowej. To był piękny widok – mówi zachwycony Kuba.

Tadeusz Łukasik jednym tchem wylicza, co widzieli pod wodą: rekiny białopłetwe, żółwie, potężna mureny, maleńkie ślimaki nagoskrzelne, hiszpańską tancerkę, jadowitą skorpenę, ośmiornicę… – Raz nam się udało spotkać konika morskiego, co jest rzadkością. Żona go sfotografowała – mówi Tadeusz Łukasik, dumnie pokazując zdjęcie na ścianie. Tę fotografię, jak wiele innych, pani Marta zrobiła aparatem do zdjęć podwodnych, który Kuba wygrał za napisanie artykułu o nurkowaniu. To nie jedyna jego nagroda. Chłopak za zajęcie czwartego miejsce w konkursie na artykuł o nurkowaniu jako formie rehabilitacji pojechał – już bez rodziców – na wyprawę nurkową do Egiptu. – Grupie towarzyszyła ekipa filmowa Telewizji Polskiej – wspominają Łukasikowie.

Więcej życia

Zabawną anegdotę przytacza pani Marta: – Kuba ma wadę wzroku. Skończył informatykę i ciągle ślęczy przed komputerem. No cóż. Jak zaczęliśmy nurkować, zachwyceni pytaliśmy Kubę, czy widział pod wodą to czy tamto. Potwierdzał, ale jakoś tak bez przekonania. Kiedyś, kiedy synowi urwał się pasek od maski, swoją pożyczył mu Piotr, jego partner nurkowy, który też jest krótkowidzem. Kiedy Kuba z niej skorzystał, wyszedł spod wody i zachwycony mówi: Jezu, ile tu życia! Teraz ma już maskę ze szkłami korekcyjnymi.

Podczas jednej z wypraw w grupie nurków był niewidomy chłopak. – Ludzie pytali: po co nurkuje? No po to samo, co wszyscy: po niesamowite doznania, po dotyk dna, fakturę rafy, kołysanie prądów morskich. No i oddychania pod wodą – podkreśla pani Marta, dodając: – Kubę, jak to on mówi, najbardziej rajcuje stan nieważkości. To, że pod wodą może sobie „fruwać”.

– Dzięki nurkowaniu czuję się spełniony. Mogę przekraczać bariery, granice, które mam na co dzień – wyznaje chłopak. – W ten sposób łączę przyjemne z pożytecznym. Podziwiam wspaniałe podwodne widoki, a przy tym jestem w ciągłym ruchu – podkreśla Jakub.

Drugą jego pasją jest informatyka. Mimo choroby skończył studia na tym kierunku i to z dala od domu, mieszkając kilka lat w akademikach w Toruniu i w Siedlcach. Może się pochwalić bardzo ciekawym cv, zwycięstwami w różnych konkursach komputerowych oraz wieloma certyfikatami informatycznymi. Prowadzi strony ze swoimi projektami i osiągnięciami naukowymi: www.kubsson.pl i nurkowanie.kubsson.pl, gdzie m.in. można zobaczyć pokazy zdjęciowe z kolejnych wypraw nurkowych.

– Zdrowi ludzie mają żony, mężów, zakładają rodziny, rodzą im się dzieci… Ja tego nigdy nie będę miał, mam za to nurkowanie! I wszystko się równoważy! – mówi Kuba.

MOGĘ WSZYSTKO

tekst Kuba Łukasik
foto Piotr Stós

Moja przygoda z Wielkim Błękitem zaczęła się w bazie nurkowej „Nautica" w Starim Gradzie. Kiedy stało się jasne, że nie dla mnie jest już gra w piłkę, narty i sporty sprawnościowe – powitała nas chorwacka wyspa Hvar. Cieplutkie słoneczko, muzyka cykad. Ten błękit morza i zieleń, i lazur, i szafir... Coś, w co bym nie uwierzył, gdybym nie zobaczył, że taki kolor w ogóle istnieje. Oleandry, bugenwille, palmy. Zapachy, jakich nie czułem dotąd nigdzie: lawenda, morze, drzewa rozpalone słońcem. Już samo to potęgowało przedsmak raju.

A potem pierwsze zanurzenie, lekkie nerwy, niepokój: jak to będzie, czy wszystko zagra? Czy sobie poradzę? Do tej pory nurkowaliśmy jedynie w polskich jeziorach, ciemnych i zimnych...

Cokolwiek bym napisał, nie odda to tego, co czuje każdy nurek. Ten spowolniony rytm. To płynięcie. Ta cisza. Ten spokój i błękit. To całkowite i totalne pogrążenie w innym świecie. To wyciszenie i uczucie spełnienia. Podwodne refleksy słońca przebijającego lustro wody. Ławice amareli i chromisów, jeżowce ze lśniącymi na czarno igłami lub ich misterne muszle. Rozgwiazdy, żółty konik morski z oczkami jak czarne paciorki. Przyczajona w zagłębieniu skały murena i ośmiornica znudzona widokiem nurków.

Na górze prowadzimy zwariowane życie. Ciągły pośpiech, wyścig, walka z czasem, ta wściekła konkurencja. Nie znoszę hałasów, kłótni, życiowego brudu. Nie cierpię krzyków i wrzasku, tego nieczystego podstawiania sobie nóg w wyścigu do nie wiadomo czego. Tam, na dole, pod wodą, poczułem ciszę i spokój. Wszechogarniający spokojny błękit, w którym wszystko toczy się powoli, czysto, cicho i w którym nie ma miejsca na hałasy tego świata. Tam życie ma inny wymiar i jest to wymiar, w którym czuję się szczęśliwy i spełniony.

Do tej pory, kiedy zamknę oczy, mam pod powiekami tamte doznania. Widzę olśniewający błękit, srebrzyste ryby, słyszę muzykę cykad, czuję zapach lawendy.

Teraz już wiem, że są rzeczy ważne i ważniejsze. Że tego, co dał mi ten pierwszy nurkowy tydzień, nie odbierze mi nikt, nic i nigdy. Ani złośliwy sąsiad, ani bezduszny urzędnik, ani zawistny kolega, ani pogoń za pieniądzem, ani choroba. Pod wodą mogę wszystko.

Na powierzchni mogę wszystko – poza chodzeniem...

W następne wakacje znów wróciliśmy na Hvar. Przez całą zimę w przykrótkie dni i przedwiosenne chlapy, gdzieś tam w tym realnym i trudnym świecie rozbrzmiewał w głębi duszy szum błękitnych fal i muzyka cykad.

Nad wodą życie jest twarde, upadki bolesne, a spojrzenia ludzi czasem krzywdzą. Są schody, wysokie progi, za wąskie drzwi, w które nie mieści się wózek. Zakłopotane spojrzenia ludzi, którzy niby chcą dobrze, ale nie wiedzą, że my, „wózkowicze", chcemy, żeby traktować nas normalnie.

Rozgwieździe jest wszystko jedno, czy masz cztery sprawne kończyny. Ośmiornica sama ma osiem nóg i dla niej i tak jesteśmy dziwolągami. Kiedy natrafisz na skalny próg czy wysokie podwodne schody, nie zatrzymujesz się pod nimi wściekły, że znów ich nie pokonasz wózkiem. Po prostu pompujesz jacket i przemieszczasz się nad nimi. Strzępiele, sargusy czy chromisy same nie mają nóg, więc dla nich to normalne, że ktoś nimi nie macha. Tam, pod wodą, nie ma barier i nie ma pojęcia „inności".

Potem była dalsza podróż, kraina faraonów, pustyń i piramid. W Egipcie jest cała masa „przyziemnych" atrakcji turystycznych. Są wielbłądy, daktyle, natrętni egipcjanie, którzy wszelkimi możliwymi sposobami zachęcają do kupowania przeróżnych pamiątek. Jest jeszcze coś – dostępne tylko dla nielicznych i wybranych. Przejrzysta woda Morza Czerwonego i bajecznie kolorowa rafa koralowa, która uchodzi za najbardziej atrakcyjne miejsce dla nurków na całym świecie.

Nurkowanie w Morzu Czerwonym diametralnie różni się od tego, w jakim uczestniczyłem dotychczas. Podczas zanurzenia się w morskiej otchłani jestem tak zafascynowany natłokiem wrażeń, że na chwilę brakuje mi tchu. Czuję się jak w wielkim, kolorowym akwarium, wypełnionym po brzegi różnorodnymi gatunkami flory i fauny.

W egipskim Sharm El-Sheikh idea nurkowania HSA jest powszechna. Nikogo tam nie dziwi widok wózka w porcie i tego, że wstawia się go na łódź. Na łodzi zupełnie naturalną rzeczą jest to, że wózkowicz też zakłada piankę i klaruje sprzęt. Miejscowi darzą niepełnosprawnego wielkim szacunkiem, bo to „Wybraniec Allacha". Noszą, dźwigają, pomagają.

Podczas nurkowania dostrzegam piękne, złociste błazenki, zajadle strzegące swojego terytorium. Dopiero po chwili, gdy zorientują się, że z takimi dużymi osobnikami jak my nie mają szans, w pokorze chowają się za swoimi ukwiałami. Gdy odwracam głowę, widzę dostojnie poruszające się bat-fishe w ławicach, które poruszają się z takim spokojem, jak gdyby nie zauważały płynących obok nurków. Nieopodal podpływa w naszym kierunku ogromny napoleon, który z uwagą i zacieka-wieniem śledzi puszczane bąble z powietrzem przez nas – „niby-ryby". Chwilę potem przed nami czmycha wielki żółw wodny, który tak szybko jak się pojawił, tak zniknął nam z pola widzenia. Jestem w raju! Nie mam ochoty wracać na powierzchnię! Niestety, szczęście trwa tyle, ile jest powietrza w butli. Po godzinie nurkowania trzeba zacząć się wynurzać i powoli wracać do szarej rzeczywistości.

Dzięki możliwości nurkowania czuję się elitą. Wybranym z wybranych. Tam pod wodą, mam wrażenie, że jestem zdrowy i sprawny. I może właśnie to, co robią instruktorzy i wolontariusze HSA, jest o niebo ważniejsze niż system „pseudopomocy" socjalnej, „niby--dofinansowań" i zasiłków? Może bez łaski urzędników ważniejsze jest, żeby była grupa zapaleńców, którzy wstawią wózek na łódkę, zanurzą się z Tobą w głębinę, potraktują Cię jak równorzędnego partnera, bez zbędnych słów i spojrzeń?

Cały rok jest trudny. Ma wiele przeszkód, kamienistych wertepów i to zarówno tych rzeczywistych, jak i emocjonalnych. Ale zawsze wtedy, gdy pięści już bolą od zaciskania ze złości, a powieki pieką od tłumionych łez – myślę sobie, że zniosę wszystko. Każdy trud, ból i upokorzenie dla tej jednej chwili. Kiedy znów się zanurzę. Kiedy zostawię na górze krzyki i wrzaski i ogarnie mnie cisza, spokój i wolność. Ta czysta natura – równa dla wszystkich... I mimo wszystko dziękuję losowi. Bo może gdyby nie spotkało mnie to, czego wielu mi współczuje, nigdy nie byłoby mi dane przeżyć cudu nurkowania? Człowiek, którego dopada choroba czy wypadek zawsze pyta: dlaczego ja? A może właśnie po to, żeby można było doświadczyć tego fascynującego i jedynego w swoim rodzaju uczucia?

Miałam zaszczyt tu uczyć

z Lucyną Jóźwik, emerytowaną nauczycielką biologii w I Liceum Ogólnokształcącym im. J.I. Kraszewskiego w Białej Podlaskiej, honorową członkinią Koła Bialczan, rozmawiała Weronika Pawlik, foto Angelika Żeleźnicka

Czy jako dziecko marzyła Pani o zawodzie nauczyciela?
Lucyna Jóźwik: – Nie. To był przypadek. Kiedyś myślałam o leśnictwie, ale to chyba nie jest zawód dla kobiety.

Ile lat pracowała Pani w zawodzie nauczyciela?
– 39 lat. I wszystkie te lata przepracowałam w liceum Kraszewskiego. Od 1952 do 1991 roku. Początkowo było to liceum męskie, więc przez 18 lat uczyłam tylko chłopców. Bardzo miło wspominam te czasy. Chłopcy zawsze mieli krótko przystrzyżone włosy i granatowe mundurki.

Jaka była młodzież w tamtym okresie?
– Wszyscy chłopcy, poza nielicznymi, skończyli studia, mają wyższe wykształcenie. Pracowało się z nimi bardzo dobrze. Do szkoły przychodziły listy pochwalne, w których opisywano uczynność, uprzejmość oraz zdyscyplinowanie młodzieży i były czytane na apelach, które odbywały się o godz. 7.45 każdego dnia. Młodzież w tamtych czasach odnosiła się do siebie bardzo życzliwie. Poza tym miała dużo inicjatywy, pomysłów. Były różne koła naukowe, harcerstwo, które było bardzo rozwinięte. Nasi byli absolwenci, pan Waszczuk oraz pan Wacław (nie pamiętam nazwiska), którzy byli instruktorami, razem z naszymi chłopcami przez całą zimę zrobili jeden kajak bez zapłaty. Przez lata nazbierało się wiele takich kajaków. Chłopcy brali udział w zawodach i co roku zajmowali pierwsze miejsce. Powstała wspaniała drużyna wodniacka. Z tamtych czasów mamy wielu wspaniałych żeglarzy, m.in.: pan Włodzio Jałoszewski, który jest naczelnym żeglugi śródziemnomorskiej, a także Leszek Sobiborowicz.

A czy wśród absolwentów kraszewskiego są jeszcze jakieś publicznie znane osoby?
– Tak, moim wychowankiem jest Boguś Kaczyński. Mam wiele wywiadów i wycinków z gazet z nim, kiedy wspomina szkolne lata. Poza tym sławny biolog, genetyk to Tomek Kowalczyk, który wyjechał na praktyki do Stanów Zjednoczonych i zaproponowano mu, żeby został. Okazało się, że to umysł fenomenalny. Ma wielkie osiągnięcia, a teraz podjął jakąś metodę leczenia raka. A także aktor Romek Kłosowski, którego ja niestety nie uczyłam, ale przyszłam tuż po nim.

Jaki był stosunek młodzieży do Pani?
– Młodzież darzyła mnie szacunkiem, zresztą ja ich też. Moi wychowankowie do tej pory utrzymują ze mną kontakt i zapraszają mnie na święta Bożego Narodzenia oraz Wielkanocy. Podczas naszych spotkań najmilej wspominamy wspólnie przeżyte wycieczki.

Dużo ich było?
– Zaliczyliśmy wszystkie parki narodowe naszego kraju, ale ponieważ było to liceum czteroletnie, to ta młodzież, która uczyła się przez cztery lata nie zdążyła zobaczyć wszystkich parków, tylko 2 albo 3 najwyżej. Mam bardzo miłe wspomnienia z tych wycieczek. Młodzież zawsze zachowywała się bardzo grzecznie, elegancko. Pamiętam taką sytuację, kiedy jechaliśmy pociągiem, to stała taka pani z dwójką małych dzieci. Chłopcy, widząc to, momentalnie ustąpili jej miejsca i stali całą drogę do Zakopanego.

A może podczas Pani pracy zdarzyły się jakieś zabawne sytuacje, a może przykre?
– Najbardziej utkwiła mi w pamięci sytuacja 8 marca. Kiedy weszłam do klasy z dziennikiem, jeden uczeń, Romek Izdebski, siedział za katedrą na moim miejscu i powiedział: „Bardzo panią profesor przepraszam, proszę zająć moje miejsce, a dzisiaj ja poprowadzę lekcję.” No to cóż miałam zrobić? Usiadłam na jego krześle, a on pytał wszystkich dwójkowych uczniów i stawiał im piątki (śmiech). Jeśli chodzi o przykre zdarzenia, to ja nigdy nie doznałam żadnej przykrości od moich uczniów.

Czyli współpracę z uczniami mile Pani wspomina. A jak zapamiętała Pani dyrektorów?
– Przez wszystkie lata mojej pracy przeżyłam siedmiu dyrektorów, ale najbardziej odpowiedzialnym dyrektorem był pan Buszek, z którym pracowałam 18 lat. U niego był ład, porządek, młodzież i nauczyciele darzyli go szacunkiem. Miał taki zwyczaj, że chodził korytarzami i sprawdzał, czy lekcje się odbywają.

A kto najbardziej przyczynił się do rozbudowania liceum Kraszewskiego?
– W szkole bardzo potrzebna była sala gimnastyczna i zarazem aula na zebrania. Jej budowę pchnął humanista, pan Flisiński. Wybudował praktycznie całą salę, ale wykończył ją dyrektor Leszczyński. Stary budynek wymagał naprawy, mury i fundamenty były zagrzybione. Ksiądz kanonik robił generalny remont w kościele pw. Św. Anny, sprowadził firmę, która leczyła fundamenty zastrzykami. Nasz dyrektor, widząc to, od razu skontaktował się z nią i zatrudnił. Mury w kraszewskim, a przede wszystkim fundamenty, też zostały wyleczone w ten sposób. Dzięki temu stary budynek przeszedł generalny remont. Ma ponad 400 lat, a jest prawdziwą ozdobą miasta. Można powiedzieć, że kraszewski jest dopięty na ostatni guzik.

Widać, że lubiła Pani pracę w tej szkole?
– Jestem bardzo dumna z tego, że miałam zaszczyt pracować w tym liceum. Ta szkoła ma swoją historię i tradycje. Praca w niej to była prawdziwa przyjemność. Szczególnie, że miałam szczęście pracowania z kadrą starych, przedwojennych profesorów, którzy byli nauczycielami z powołania, a nie z przymusu. Mam wielki sentyment do kraszewskiego. Pracowałam w nim z powołania i zainteresowania. Nie żałuję żadnej chwili spędzonej w murach tego liceum.

Dziś niewielu ludzi czerpie satysfakcję z tego, co robi zawodowo.
– Myślę, że każdy może być zadowolony ze swojej pracy, tylko trzeba być odpowiednią osobą na odpowiednim miejscu. Mnie się to udało i jestem z tego powodu bardzo szczęśliwa.

W POWIETRZU NIE MAM CZASU NA NUDĘ

Z pochodzącym z Białej Podlaskiej porucznikiem Jakubem Barszczem, szybowcowym wicemistrzem Europy, rozmawia Katarzyna Fronc

Katarzyna Fronc: – Jak się stało, że zostałeś pilotem? Czy na wybór tej właśnie drogi zawodowej wpływ miały bialskie tradycje lotnicze? A może rodzinne?
Jakub Barszcz: – Zainteresowanie lotnictwem z pewnością zaszczepił we mnie ojciec, który był pilotem wojskowym. Podobno, gdy rodzina prowadzała mnie na spacer w wózku, budziłem się tylko na dźwięk samolotu i to nie z płaczem, ale z uśmiechem. Setki książek lotniczych z biblioteczki ojca, wyjazdy na lotnisko i ciągle latające nad Białą Podlaską samoloty pogłębiały moją pasję. Decyzja o nauce w Ogólnokształcącym Liceum Lotniczym w Dęblinie sprawiła, iż mogłem zacząć realizować marzenia zostania pilotem wojskowym. Pierwsze lotnicze kroki postawiłem w Aeroklubie Orląt w Dęblinie. Na początku był kurs spadochronowy, po czym przyszła kolej na szybowce. I właśnie na szybowcach realizacja lotniczych marzeń się zakończyła. Zdrowie, a konkretnie kręgosłup, nie pozwoliło mi przejść badań lotniczo-lekarskich na samoloty. Poświęciłem się więc pasji szybownictwa, której jestem wierny do dziś.

W Twoim przypadku pasja równa się sukces. Ostatnio zdobyłeś srebrny medal podczas szybowcowych mistrzostw Europy. I to nie pierwszy Twój tytuł.
Rzeczywiście ostatnie lata są dla mnie dość udane. Zawodnicze starty rozpocząłem w 2003 roku. Od tego czasu zajmowałem czołowe pozycje w Krajowych Zawodach Szybowcowych. Zdobyłem dwukrotnie srebrny i raz brązowy medal Szybowcowych Mistrzostw Polski Juniorów, a w 2007 roku reprezentowałem Polskę na Szybowcowych Mistrzostwach Świata w Rieti we Włoszech. 2010 rok przyniósł złoty medal Mistrzostw Polski w klasie Klub rozegranych w Stalowej Woli. Rok później wygrałem Szybowcowe Mistrzostwa Europy w klasie Światowej w Nitrze na Słowacji, jednak nie otrzymałem medalu, bo z powodu zbyt małej liczby konkurencji zawody zostały nierozegrane. W 2012 roku byłem drugi na Przedmistrzostwach Europy w Ostrowie Wielkopolskim. W styczniu tego roku zająłem 7. miejsce w Szybowcowych Mistrzostwach Świata w klasie światowej rozegranych w Adolfo Gonzales Chaves w Argentynie. Lipcowy srebrny medal Mistrzostw Europy to jak na razie mój największy sukces.

Wspominasz o różnych klasach, w których rozgrywane są zawody szybowcowe...
Podział na klasy uwarunkowany jest rozpiętością skrzydeł, możliwością zabierania balastu wodnego, posiadaniem klap, a ostatnio również liczbą osób załogi, gdyż pojawiła się nowa klasa szybowców dwumiejscowych. Istotą zawodów szybowcowych jest osiągnięcie jak największej prędkości na zadanej trasie lub osiągnięcie największej odległość, jeśli nikt nie doleciał do mety. Istnieją dwa typy konkurencji: wyścigowa i obszarowa. W pierwszej z nich wszyscy piloci lecą po tej samej, wyznaczonej trasie, w drugiej zaś narzucony jest czas oblotu trasy i obszary, w których szybowiec musi się znaleźć. Sprawia to, że w przypadku konkurencji obszarowej pilot ma swobodę optymalnego doboru trasy pod kątem aktualnie panujących warunków atmosferycznych. Trasy poszczególnych wyścigów wyznaczane są na podstawie analizy prognozy tak, aby optymalnie wykorzystać walory terenu i pogody w danym dniu. Najczęściej mają one długość 200-500 km, ale zdarzają się trasy nawet ponad 800 km.

Wytłumaczysz laikom, na czym polega szybowanie?
Szybowiec nieustannie opada względem powietrza, gdyż nie posiada własnego napędu. W zależności od jego konstrukcji i prędkości lotu opada od kilkudziesięciu centymetrów na sekundę w wolnym locie do 3 metrów przy szybkim. Z tego powodu lot szybowca po wyholowaniu przez samolot holujący lub po starcie z wyciągarki powinien zakończyć się w przeciągu kilku minut. Jednak szybowcami pokonuje się ogromne odległości i można wznieść się nawet do stratosfery. Dzieje się tak, gdyż powietrze w atmosferze jest w ciągłym ruchu z powodu oddziaływania

różnych sił i dostarczanej przez słońce energii. Od nagrzanego podłoża powstają wiatry i pionowe ruchy – prądy wznoszące, które umożliwiają szybowcom zdobywanie wysokości. Wystarczy wykorzystać prąd wznoszący, który jest silniejszy niż opadanie szybowca i w ten sposób wznieść się na wysokość pozwalającą pokonać kolejny dystans.

Łatwo powiedzieć mistrzowi, który do perfekcji ma opanowane niezbędne umiejętności. Ale, by latać szybowcami, trzeba mieć też predyspozycje?
Pilot szybowca musi umieć wyszukiwać wznoszenia, optymalnie je wykorzystać dla nabrania wysokości i tak dostosować prędkość, by na odpowiedniej wysokości dolecieć jak najszybciej do następnego wznoszenia. Przelot jest sprawdzianem opanowania techniki pilotowania, wiedzy – szczególnie meteorologicznej, uzdolnień analitycznych, cierpliwości i opanowania.

Jest coś takiego jak taktyka podczas startów z zawodach?
Po wyholowaniu nad lotnisko przez samolot holujący zawodnik sam wybiera dogodny moment startu lotnego, kiedy uzna warunki pogodowe za najlepsze. W locie musi przewidywać rozwój pogody w ciągu dnia i poczynania innych zawodników. Zwykle wyczekuje się moment odejścia na trasę aż ziemia nagrzeje się bardziej w miarę upływu dnia i warunki będą mocniejsze. Nie można jednak zwlekać za długo, gdyż ryzykuje się tym, że przy pogorszeniu warunków może zabraknąć czasu i zamiast na lotnisku lot ukończy się w polu. Korzystnie jest „wypuścić" przed sobą konkurentów, aby lecąc za nimi skorzystać na obserwacji ich poczynań.

Jesteś członkiem Szybowcowej Kadry Narodowej. To duży prestiż.
O tak. Szybowcowa Kadra Narodowa składa się z najlepszych pilotów i pilotek szybowcowych w kraju. Jej skład jest ustalany rokrocznie po każdym sezonie zawodniczym. Nominacje do kadry ustalane są przez trenera w oparciu o aktualną pozycję pilota w rankingu oraz zwycięstwa w ważnych zawodach. Ze składu Szybowcowej Kadry Narodowej wybierana jest Szybowcowa Reprezentacja Polski. Obecnie w rankingu polskim sklasyfikowanych jest 270 pilotów i pilotek szybowcowych. Trzeba dołożyć największych starań, aby zostawić ich w pokonanym polu i dołączyć do wąskiego składu kadry.

Rozumiem, że latanie szybowcami to hobby, a zawodowo, czym się zajmujesz?
Obecnie pracuję jako kontroler ruchu lotniczego w 31. Bazie Lotnictwa Taktycznego w podpoznańskich Krzesinach. Praca z F-16 jest wymagająca, ale sprawia mi wielką frajdę. Pomiędzy dyżurami mam natomiast czas na realizację szybowcowej pasji, która jest relaksującą odskocznią od mimo wszystko stresującej pracy kontrolera ruchu lotniczego.

Czy pamiętasz swój pierwszy lot? Uczucia, jakie Ci wtedy towarzyszyły?
Odbyłem go na szybowcu typu Bocian. Był dla mnie podróżą w nieznane. W końcu miesiące przygotowań miały wydać plon. Pamiętam, że w nocy długo nie mogłem zasnąć, a tuż przed lotem ciężko było opanować emocje i podniecenie. W powietrzu całe napięcie spadło, a zastąpiło je uczucie nieskrępowanej wolności. Zacząłem się rozkoszować lotem
i widokami. Wtedy pomyślałem, że to jest tak wspaniałe, że nigdy nie rozstanę się z szybowaniem.

Czy po latach łatwiej siadać za sterami szybowca?
Latanie mi się nie nudzi, a każdy lot jest inny i każdy daje dużo satysfakcji. Obecnie mam wylatane ponad 1500 godzin na szybowcach i 55000 km po trasach. Do szybowca wsiadam chyba z większym luzem niż na rower.

tekst Katarzyna Fronc
foto Angelika Żeleźnicka

SNY EDYTY

CZYLI „STRASZNIE" INTRYGUJĄCY DEBIUT BIALSKIEJ PISARKI

Jak się okazuje, młodych talentów w Białej Podlaskiej nie brakuje. Jednym z nich jest niewątpliwie Edyta Tyszkiewicz, która niedawno zadebiutowała jako pisarka powieścią „Trzy Anny w kapeluszach". To thriller, więc jest i zagadka, i intryga, no i dreszczyk emocji. A wszystko zaczęło się od jednego snu...

Zanim poznałam osobiście Edytę Tyszkiewicz, przeczytałam jej „Anny". Autorka nie jest żadną ryczącą czterdziestką, a jej książka babskim czytadłem. To nie romansidło, tylko thriller utrzymujący czytelnika w napięciu do ostatnich stron. A autorka? To inteligentna, dojrzała kobieta o naturze roześmianej i gadatliwej nastolatki.

Historie z podwórka

Z wykształcenia Edyta jest przedszkolanką. – Uwielbiam dzieci – gada jak najęta, parząc herbatę w swoim domu. – Nie pracuję w zawodzie, ale często zajmuję się dziećmi braci czy znajomych. Ostatnio wymyśliłam im grę planszową – szczebiocze, wyciągając z szuflady swoje kolorowe dzieło i opowiadając o regułach gry. Wyjaśnia, że przez lata mieszkała w Warszawie, gdzie pracowała między innymi jako kierownik kliniki medycznej i asystentka w gabinecie stomatologicznym. Jednak w końcu wrócili z mężem do Białej Podlaskiej. – Zamieszkaliśmy na osiedlu, na którym się wychowaliśmy – wyjaśnia Edyta.

To tu stawiała swoje pierwsze literackie kroki. Jak mówi, pod wpływem lektury Karola Maya czy „Pana samochodzika" pisała własne wymyślone historie. – Bohaterami byli moi koledzy i koleżanki, po prostu, dzieciaki z podwórka. To była niezła zabawa – wspomina Edyta.

Potem pisała ciągle. Ale do szuflady. No chyba że były to wypracowania szkolne. – Nie wszystkim nauczycielkom się podobały, ale cóż. Tak jest ze wszystkim, czy to artykułem, czy książką. Nie każdemu musi przypaść do gustu – uważa.

Od snu do książki

Wcześniej malowała, ale odkąd zamieszkała z mężem w Warszawie, skupiła się na pisaniu. – Stało się tak z przyczyn praktycznych. Po prostu mieliśmy tak mały pokój, że nie miałam miejsca, żeby malować – mówi Edyta.

Do napisania pierwszej książki namówił ją mąż, podsuwając pomysł, by rozwinęła jedno ze swoich wcześniejszych opowiadań. – Wydało mu się na tyle ciekawe, że uznał, że może być z tego dłuższa opowieść. Na początku nie wierzyłam, że potrafię coś takiego zrobić, ale okazało się, że tak. Stworzyłam sobie plan, wymyśliłam bohaterów. W trakcie pisania wiele rzeczy zmieniałam, dopisywałam wątki, o których wcześniej nie myślałam. Wiedziałam tylko na pewno, jak ma się skończyć moja powieść – opowiada Edyta o pracy nad debiutanckim thrillerem. Zdradza, że całą fabułę wymyśliła pod wpływem jednego snu. Oczywiście znalazł się w książce.

– Pierwszym moim recenzentem był mąż, który bardzo lubi czytać. Stwierdził, że czytał wiele lepszych książek, ale też masę sto razy gorszych. Powiedział: spróbuj, co ci szkodzi? I tak zrobiłam. Znalazłam kilka wydawnictw i wysłałam im maszynopis. Zdecydowałam się na to, z którego odezwali się do mnie pierwsi – wyjaśnia.

Wtedy już pisała kolejną książkę.

Autor zarabia ostatni

Życie pisarza nie jest proste. Szczególnie tego początkującego i nieznanego. Edyta przekonała się o tym, bowiem żeby wydać „Trzy Anny w kapeluszach", musiała zainwestować, pokrywając częściowe koszty publikacji. – Autor zarabia najmniej, a do tego ostatni. Najpierw muszą zarobić wszyscy dookoła – przyznaje Tyszkiewicz, zapewniając, że nie zniechęca jej to do pisania kolejnych powieści.

Jest zdania, że z pisarstwa dałoby się wyżyć, gdyby jakiś wydawca zechciał wyłożyć fundusze na reklamę. A tak dzieje się rzadko. – Bez reklamy niewiele się sprzedaje. Ja na razie do tego dokładam – ubolewa Edyta, wyjaśniając przy tym, że od roku szuka pracy. Dziwne, biorąc pod uwagę jej żywiołowy temperament i energię. – Wiele już razy usłyszałam, że szukają kogoś młodszego. A przecież wiek nie gwarantuje zaangażowania w pracę – uważa.

Nie marnuje czasu – ma skończoną drugą książkę, która czeka na publikację. Zaczęła też pisać kolejną. – Akcja mojej trzeciej książki będzie się działa w Białej Podlaskiej, ale na razie nic więcej nie powiem – tajemniczo i wymijająco mówi Edyta. Chętniej opowiada o tej, na której wydanie szuka pieniędzy: – To nie będzie kontynuacja mojej pierwszej książki. To będzie całkiem inna historia. Historia pewnej miłości, ale na pewno nie ma to nic wspólnego z romansem. Dużo w niej magii, nadprzyrodzonych zdolności, podróży w snach, by ratować ukochanego, ale też złych ludzi, z którymi trzeba walczyć. Jednocześnie opowieść jest osadzona w naszych realiach, a magia i sny to tylko dodatek do normalnego życia. Jest też odwieczne pytanie, czy dobro zawsze wygrywa ze złem, i czy to, co dla jednych wydaje się złem, dla innych nie może być dobre...

Wybujała wyobraźnia

Pomysłów i materiałów bialskiej pisarce nie brakuje. Ma całe kajety zapisane różnymi dialogami czy konkretnymi scenami. Inspiracje czerpie z otoczenia. – Chyba jestem osobą, która lubi obserwować, podsłuchiwać. Obserwuję reakcje ludzi, ich gesty, słyszę czasem tylko strzępki rozmów i na ich podstawie potrafię określić relacje między nimi. Mam chyba jakąś intuicję, co do emocji, które są między ludźmi – przyznaje Edyta. Zapewnia przy tym, że w swoich opowiadaniach czy powieściach nie portretuje konkretnych znajomych. Raczej ich cechy przypisuje swoim bohaterom.

– Mam przesadzoną wręcz wyobraźnię i po prostu z tego korzystam. Nie staram się silić na kogoś, kim nie jestem. To byłoby sztuczne – uważa Edyta. Czytając jej blooga (kulturalny-miszmasz.bloog.pl), można się przekonać, że mówi prawdę – niczego nie udaje. Jest prawdziwa. – Pomyślałam, że skoro dużo czytam, mogę dzielić się z innymi moimi przemyśleniami, przy okazji podpowiedzieć komuś jakąś lekturę, no i wyżyć się literacko – śmieje się Edyta.

Głównie pisze na komputerze, bo jest szybciej. – Jak zaczynam, tyle myśli naraz przelatuje mi przez głowę, że ręcznie nie nadążyłabym ich spisywać. Ale nie rozstaję się notatnikiem. Szczególnie, kiedy wychodzę z domu. Dzięki temu, jak mam pomysł, od razu mogę go zapisać – wyjaśnia i dodaje: – Fajnie, jak ma się trochę nudne życie, bo wtedy wyobraźnia lepiej pracuje. Gdybym miała za dużo zajęć, nie miałabym czasu na wymyślanie tych wszystkich dziwnych historii.

Już w tym numerze na łamach „Pryzmatu" będzie można przekonać się o talencie literackim Edyty Tyszkiewicz. W stałej rubryce będziecie mogli, Państwo, czytać jej felietony, wiersze i recenzje książek.

1 WRZEŚNIA1939

opracowanie Renata Szwed, foto archiwum

Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie,
Zapomnij o mnie.
Adam Mickiewicz „Dziady" cz. III

Co byś zrobił, gdyby nagle przydarzyła się nam powtórka z 1 września 1939 roku? Część czytających to zdanie pewnie w tej chwili uśmiechnie się, nie wierząc zapewne w to, że taka historia może się kiedykolwiek powtórzyć. I nawet kiedy oglądamy pasjonujące filmy wojenne czy czytamy literaturę poświęconą tamtym czasom, to i tak wydaje nam się, że wydarzenia, o których mowa, są nam dalekie i zupełnie odrealnione. Odchodzące powoli pokolenie, pamiętające wszelkie okrucieństwa II wojny światowej stanowi żywy dowód historii naszej Ojczyzny. Już tylko nieliczni spośród nas pamiętają tamte czasy, dlatego tak istotne jest to, aby zachować o nich pamięć.
W tym wydaniu chcielibyśmy przedstawić czytelnikom niepublikowane do tej pory fragmenty pamiętnika jednego z żołnierzy kampanii wrześniowej. To wspomnienia porucznika Władysława Jasińskiego, ps. Grab, o którym już pisaliśmy w jednym z wcześniejszych wydań „Pryzmatu". W 1939 roku pełnił służbę jako szef 6. kompanii w II batalionie 34. Pułku Piechoty, który do czerwca 1939 r. stacjonował w Białej Podlaskiej, a następnie został skierowany na Pomorze w rejon Żołędowa, gdzie rozpoczęto organizować obronę przed spodziewaną wojną z Niemcami. Pamiętnik porucznika Jasińskiego to zapis pierwszych dni września – wstrząsający zapis. Jego wspomnienia nie tylko nakreślają historię tamtego czasu ale w pełni oddają to, czego naprawdę doświadczyli walczący. Znalazły się tu opisy nie tylko działań na froncie, lecz także ich myśli, rozterki, zwątpienia i cierpienia.

Biała Podlaska dn. 23. III. 1939 r.
Dnia 23 marca 1939 r. w godzinach popołudniowych została ogłoszona mobilizacja, ja jako szef k6 kompanii 11/34. Pułku Piechoty organizowałem kompanię w Gimnazjum Żeńskim im. Emiliii Plater. Po zmobilizowaniu pułku II batalion został zakwaterowany na Łuskach komp. 6 na ul. Podleśnej, przez ten czas odbywały się ćwiczenia kompanii. W miesiącu kwietniu 1939 r. został II batalion przeniesiony do Sidorek na kwatery, tam również odbywały się ćwiczenia kompanii. W miesiącu czerwcu 1939 r. został cały 34p.p przeniesiony na Pomorze w rejon Żołędowa, później w rejon Więdzborga. Z dn. 5-6 sierpnia. 1939 r. maszerował 34 p.p w rejon Zołędowa. W rejonie Żołędowa dopiero rozpoczęto organizować obronę. Przy końcu sierpnia 34 p.p. został zluzowany przez 13. Dywizję Piechoty i odmaszerował w rejon Lubiewa.

Lubiewo dn. 1 września 1939 r.
W godzinach rannych alarm, zbiórka i odmarsz baonu w kierunku Piły Młyn przez Klonowo, (...) natomiast I baon pomaszerował z Piły Młyn szosą do Gostycyna i tam stoczył pierwszą walkę z Niemcami, III baon pozostał na odwodzie za baonem I. Takie było ugrupowanie pułku w godzinach przedpołudniowych. (...) Po spożyciu kolacji przyszedł rozkaz dowódcy baonu, że natychmiast zbiórka i odmarsz baonu do Piły Młyn. Z Piły Młyn maszerował baon przez całą noc w rejon toru kolejowego, most na rzece Brdzie kolejowy, z zadaniem wyparcia nieprzyjaciela z tego rejonu. Po przyjściu baonu do mostu kolejowego nieprzyjaciela tam nie było. Nadmieniam, że w czasie nocnego marszu z Piły Młyn do mostu kolejowego na rzece Brdzie, zostawiali żołnierze po drodze bardzo wiele części ekwipunku jak koce, plecaki, płaszcze, chlebaki, bieliznę, maski przeciwgazowe itp. (...)

Dnia 2 września 1939 r.

O świcie kiedy jeszcze plutony nie zdążyli zorganizować obrony, przyszedł rozkaz d-cy baonu, że 6 kompania ma natychmiast dołączyć do baonu. Zbiórka przy torze kolejowym baonu na drodze przy moście przejezdnym przez tor kolejowy. (...) Dowódca baonu wydał rozkaz do marszu następujący: 5 kompania jako straż przednia bagnet na broń marsz, 6 kompania za kompanią 5. 4 kompania i 2 kompania za kompanią 6 maszerować. Baon przemaszerował od przejazdu toru kolejowego szosą około 1600 m. i napotkał nieprzyjaciela. Rozpoczęła się gwałtowna walka ogniowa i szturm, nieprzyjaciel wycofał się. Po krótkiej przerwie, nieprzyjaciel rozpoczął natarcie na nasze stanowiska czołgami i piechotą, wtenczas rozgorzała na dobre walka i trwała przez kilka godzin, mino przeważających sił nieprzyjaciela nie udało mu się zdobyć naszej obrony. Zachowanie własnych żołnierzy, biorąc ogólnie było złe, a mianowicie: prowadzili ogień mając na przedzie swoich kolegów, przez to było wiele rannych i zabitych od własnych pocisków. Samowolnie ze strachu cofali się gdzie napotykali na silny ogień artyleryjski nieprzyjaciela przez to wiele rannych i zabitych. Ja w czasie tej bitwy wykonywałem następujące czynności: wszystkich strzelców, którzy byli na stanowiskach ogniowych w tyle wysłałem do pierwszej linii, wydałem rozkaz dowódcy sekcji granatników kapralowi Łazowskiemu do zajęcia stanowisk ogniowych i otwarcia ognia do nieprzyjaciela, donosiłem ze strzelcami amunicje do stanowisk ogniowych kompanii z wozów amunicyjnych baonu, mimo silnego ognia nieprzyjaciela, wydałem rozkaz dowódcy drużyny moździerzy kapr. Mińczukowi do zajęcia stanowisk ogniowych, otwarcia prowadzenia ognia na zgrupowanie czołgów nieprzyjaciela, po powrocie II plutonu z zadania, wydałem rozkaz dowódcy plutonu zajęcia stanowiska

Biała Podlaska – 34. pułk piechoty, 1938 r.

PAMIĘTNIK ŻOŁNIERZA

34. pułk piechoty na ćwiczeniach

ogniowego
w prawo od stanowisk ogniowych baonu, celem przedłużenia prawego skrzydła. Po zameldowaniu dowódcy baonu przez adiutanta ppor. Zatorskiego, dowódca baonu zgo¬dził się na wydany rozkaz przeze mnie. Kierowałem rannych do punktu opatrunkowego, jak również i sam pierwsze opatrunki robiłem.
0 godz.16. wydał rozkaz dowódca pułku cofać się, zbiórka była zarządzona w tyle, w głębi lasu. Na tej zbiórce wydał mi dowódca pułku rozkaz, żebym powiedział do szeregowych dlaczego się cofamy, że rozkaz do wycofania się został wydany z góry celowo, że nie ma tu żadnego niebezpieczeństwa itp. (...)
Kiedy baon przymaszerował na skraj lasu od strony Klonowa, stwierdzono, że między lasem a Klonowem jest nieprzyjaciel, droga do dalszego cofania się została przez niego zamknięta. Na skraju lasu zatrzymała się kolumna. Po dwóch godzinach dowódca pułku wydał rozkaz maszerować z powrotem tą samo drogą – doszliśmy prawie że do tego miejsca gdzie była przeprowadzana zbiórka po bitwie. Po krótkiej przerwie została wybrana inna droga do cofania się, po krótkim marszu przez las szosą szperacze natknęli się na ogień nieprzyjaciela, rozpoczęła się bezładna strzelanina, na ten widok nasze ubezpieczenie rozpoczęło uciekać w tył i boki w las, tak szybko, że nie można było w żaden sposób powstrzymać uciekających. Ja w tym czasie pytam dowódcę baonu co będziem robić dalej, na to mi dowódca odpowiada, że chce zająć stanowiska ogniowe na wzniesieniu w lesie, tuż niedaleko wizjery lasu.
Na rozkaz dowódcy baonu zacząłem zbierać szeregowych i zajmować stanowiska ogniowe na wyznaczonym miejscu, żeby dodać odwagi szeregowym, chodziłem po linii, mimo silnego ognia nieprzyjaciela, wybierałem stanowiska ogniowe dla po szczególnych strzelców.
W tym to czasie dowódca pułku wsiadł na konia i przyjechał do pierwszej linii obronnej ażeby podtrzymać szeregowych na duchu, przy dowódcy pułku był adiutant kpt. Szuy, dowódca baonu również chodził po linii, prócz wyżej wymienionych dowódców nie widziałem nikogo. Po ustaleniu linii obronnej zaczęli się zgłaszać dopiero oficerowie i podoficerowie do pierwszej linii, na pytanie moje dlaczego nie idą do przodu, na to otrzymałem odpowiedź, że ich ludzie nie mają amunicji.

W tym czasie ze znajomych oficerów był por. Białogrodzki. Przy zajmowaniu stanowisk ogniowych było kilku rannych i zabitych, częściowo przez własnych strzelców, którzy prowadzili ogień mając na przodzie swoich kolegów, d-ca. pułku również był ranny w czasie zajmowania stanowisk ogniowych. W czasie kontroli stanowisk ogniowych przeze mnie, pytał mnie czy taka wojna mi sie podoba, ja na to odpowiedziałem, że taką wojnę niech weźmie cholera.
Kiedy już obrona została zorganizowana, ogień nieprzyjaciela chwilowo ustał, zatrzymałem się na linii, usiadłem pod drzewem, po chwili przyszedł do mnie adiutant baonu ppor. Zatorski a za nim podchorąży Wojtkowski, dowódca III-go plutonu, 6. Kompanii i również usiedli przy mnie. Wtenczas rozpoczęła się rozmowa z adiutantem, natomiast podchorąży z powodu kontuzji oniemiał i ogłuchł, to z nim porozumiewaliśmy się na migi lub też pisemnie. Tematem rozmowy była wojna, rozmowa trwała ok. 2 godzin. Po tej rozmowie pierwszy odszedł adiutant, a chorąży pozostał. W kilka minut po odejściu adiutanta nieprzyjaciel rozpoczął strzelać z artylerii tak, że pierwszy pocisk spadł nad nami, drugi obok nas, kiedy pierwszy pocisk padł to chorąży mimo to, że był głuchy i niemy błyskawicznie uciekał ode mnie, ja pozostałem na miejscu, nieprzyjaciel strzelał dalej przez dłuższy czas i to dość silnie. W tym czasie zostałem kontuzjowany. (...). W tym miejscu gdzie zostałem kontuzjowany przebywałem do godz. 20.00, czułem się na zdrowiu ogólnie słabo, w tym to czasie słyszę głos kpt. Fossa wołającego majora Klaklę, jednocześnie przechodził koło mnie jakiś nieznajomy oficer, który również wołał majora Klaklę. Pytam go na to na co mu jest potrzebny major, odpowiedział mi, że się wycofujemy stąd. Wobec tego ja mimo osłabienia powstałem z miejsca i udałem się do tyłu. Ja czułem się osłabiony, byłem zmuszony usiąść, wybrałem miejsce w lesie przy drodze za skarpą, przy mnie usiadł również dowódca 6. Kompanii. Po upływie kilku minut mego odpoczynku nieprzyjaciel otworzył bardzo silny ogień z broni maszynowej tak, że pierwsze serie pocisków posypały się po skarpie, za którą siedziałem. Wtedy pomyślałem sobie, że mam wielkie szczęście, że usiadłem za skarpą, bo inaczej to byłoby ze mną źle, zostałbym ranny lub zabity. Nieprzyjaciel prowadził ogień z małymi przerwami i z różnej broni dość silny przez czas naszego pobytu w lesie i po naszym odmarszu jeszcze przez kilka godzin. (...)
Nadmieniam, że w kolumnie naszej w czasie marszu jak i w czasie przerwy nie było już zwartych kompanii, plutonów i drużyn, tylko szło wszystko masie, a najczęściej pozostając w tyle z powodu niebezpieczeństwa z przodu, przez to było trudno wyznaczyć szeregowych na szpicę, inaczej to można było określić, że wojsko było już zdemoralizowane aż do takiego stopnia i dlatego jako ubezpieczenie

Biała Podlaska – 34. pułk piechoty 1938 r.

Biała Podlaska – 34. pułk piechoty, wizyta gen. Konarzewskiego

od czoła maszerował sztab . W czasie przerwy rozmawiałem ze st. sierżantem Łukasikiem, Wawrzyniakiem i sierż . Gieryłło, kiedy kolumna znajdowała się na odpoczynku w lesie przed Lubiewem godzina była 3 dn. 3 września 1939 r.

Dnia 3 września 1939 r.
Po przerwie kolumna ruszyła w kierunku Lubiewa. Kiedy znajdowałem się mniej więcej w połowie drogi między Lubiewem a lasem został otwarty ogień z Lubiewa przez nieprzyjaciela z broni maszynowej. Na ten ogień nieprzyjaciela otwarły nasze oddziały z lasu ogień, wobec powyższego nasza kolumna znalazła się w ogniu nieprzyjaciela i własnych oddziałów. W tym czasie z naszej kolumny zostało wiele rannych i zabitych. Ze znajomych został zabity por. Wojtasiewicz i strzelec Szynkaruk. Kiedy ja usłyszałem strzały natychmiast zszedłem z drogi w prawo i maszerowałem dalej w kierunku lasu. Po osiągnięciu przeze mnie lasu, napotkałem wiele rowerów i motocykli bez żadnej opieki. O świcie przyszedłem w rejon stacji kolejowej, droga, przy drodze las i tor kolejowy. W tym rejonie spotkałem kpt. Chodkowskiego przeprowadzającego zbiórkę kompanii c.k.m. W tym lesie spotkałem kilku podoficerów z 35. Pułku piechoty jak st. Sierż. Ryconiaka, Nienczyckiego, plut. Cierockiego i wielu innych. Rozmawiałem z dowódcą 3 komp. Ppor. Cielekieiwczem, st. Sierżantem Łukasikiem, Jarosińskim i kapr. Zdunkoskim, w tym rejonie znajdowało się sporo wojska z różnych formacji. W czasie dalszej rozmowy usłyszałem warkot motorów-aut, nasze wojsko kiedy usłyszało ten warkot motorów myśląc, że oto już idą czołgi nieprzyjaciela, jak nie pójdzie w las, tylko zrobił się wielki szum i w przeciągu kilku sekund wojsko się rozprysło, w miejscu pozostało nas kilku, ja tej panice się przypatrywałem. Później sobie pomyślałem, że z takim wojskiem walczyć już nie można i mówię do st. Sierżanta Łukasika, że idziemy dalej zbierać nasze wojsko, kiedy już doszliśmy do szosy, która prowadzi z Tucholi do Świecia, na wschodnią wizjerę lasu tam znowu spotkałem kpt. Chodkowskiego przeprowadzającego zbiórkę oddziału, gdy się zbliżyłem widziałem na tej zbiórce około 100 ludzi, za nami już nikt nie szedł z wojska i w tym rejonie naszego wojska z kompanii nie było. (...) W tym czasie przyjeżdża na koniu do nas major artylerii i mówi, że będziemy nacierać w kierunku na Bydgoszcz, własna artyleria zajmuje stanowisko ogniowe celem wsparcia natarcia. Szosa była zatarasowana tak, że nie można się było ruszyć, na szosie był tabor, artyleria, łączność itp.
Po upływie jednej godziny od czasu wydania rozkazów przez majora artylerii przelatuje nad nami jeden samolot wywiadowczy, zatoczył koło kilka razy i odleciał, po upływie kilkunastu minut przyleciało kilkanaście bombowców i nurkowców, nasze dowództwo wydało rozkaz ażeby do niech nie strzelać, bo są to samoloty własne. Te rzekomo samoloty własne przyjęły szyk bojowy i rozpoczęły bombardować stanowiska artylerii oraz zgrupowania taborów i wojska, a nurkowce rozpoczęły pikowania wzdłuż szosy i strzelania z broni maszynowej. Widok był bardzo przerażający. W czasie bombardowania skryłem się pod stóg ze zbożem około 100 m od szosy. Przy tym stogu byli ze mną st. Sierżant Łukasik, sierż. Borowik i plutonowy Zyluk, blisko mnie zapaliły się przy szosie budynki gospodarcze i takich pożarów było wiele od bombardowania. W tym czasie widzę, że artyleria i tabory uciekają na przełaj w kierunku na wschód. Ja niewiele myśląc usiadłem na wóz, który koło mnie przejeżdżał i pojechałem a za mną zrobili to samo st. Sierżant Łukasik, sierż. Borowik i plutonowy Zyluk. Odjechałem od tego miejsca około 2 km i wysiadłem, po upływie krótkiego czasu widzę, że od strony wschodniej w kierunku na zachód uciekają tabory i artyleria, jak się dowiedziałem to tam był również już nieprzyjaciel. W tym to czasie widziałem wielki bałagan z powodu tego, że jedne tabory i artyleria uciekały z zachodu na wschód a drugie ze wschodu na zachód przez to nastąpiło zatarasowanie szosy. Przy szosie niedaleko przede mną był las, ja postanowiłem dojść do tego lasu, idąc do lasu po drodze spotkałem plutonowego Kadę a po wejściu do lasu spotkałem tam wielu szeregowych z piechoty, kawalerii, artylerii, saperów, łączności, obrony narodowej itp. Postanowiłem zatrzymać się w tym lesie, tam spotkałem ppor. Dmowskiego, który się już tam wylegiwał. Po upływie dłuższego czasu przyszedł kpt. Chodkowski, spotkał mnie i mówi, że nie wie co ma dalej robić bo dalsza walka jest już bezcelowa, czy ma się przebierać na cywila – jakoś nie wypada, jesteśmy ze wszystkich stron otoczeni przez nieprzyjaciela. Pytam kapitana Chodkowskiego gdzie jest major Klakla, na to mi odpowiedział, że nie wie. Pytam dalej co będziemy robić, na to mi nic nie odpowiedział, tylko się dowiedziałem, że na tym miejscu czeka nas śmierć albo niewola. Przy kapitanie był adiutant baonu ppor. Zatorski i podchorąży z plutonu ppanc. dalej z kapitanem nie rozmawiałem, widziałem jak się kręcił po lesie to w przód to w tył, tak wybierał sobie stanowisko wyczekiwania na śmierć lub niewolę. Ja powziąłem decyzję pójść do przodu i wezwałem wszystkich obecnych w lesie, że idziemy naprzód, lepiej jest zginąć w walce niż tu czekać na śmierć lub niewolę.

Nasz bohater próbował przebić się do swojego wojska, niestety nie udało mu się to. W dniach 8 września – 7 października ukrywał się w lasach. 8 października został schwytany jako cywil i osadzony w więzieniu w Świeciu. Wielokrotnie brutalnie przesłuchiwany zdołał zachować w tajemnicy fakt, że jest wojskowym. Zwolniony z więzienia 1 grudnia 1939 r. Dalej konspiracja, AK, a potem podzielił los żołnierzy wyklętych.

BOHATEROWIE BIALSKICH ULIC

tekst i foto Elżbieta Pyrka

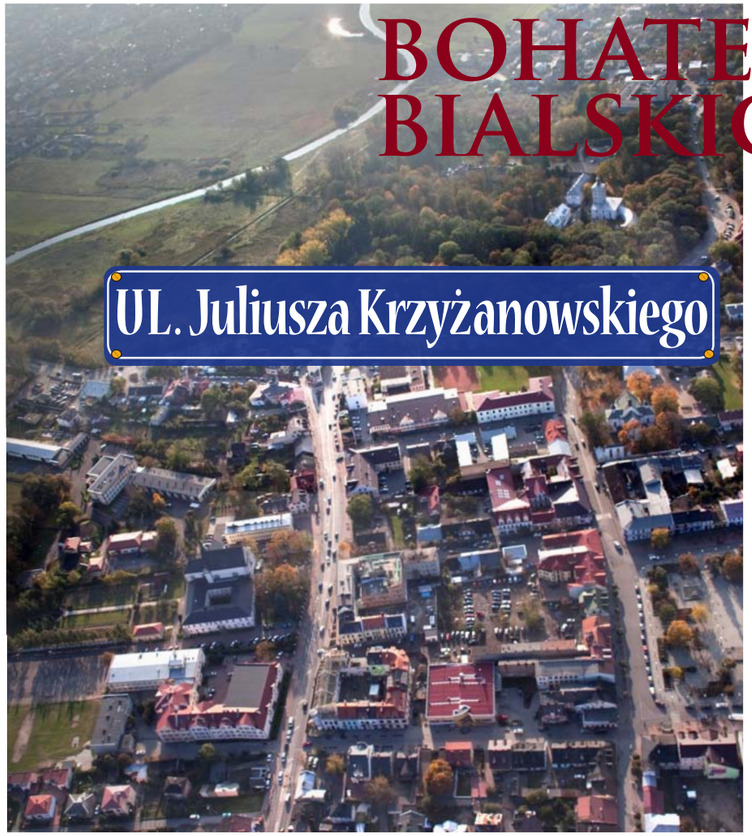

Kontynuując cykl „Bialskie ulice", mający przybliżyć mieszkańcom Białej Podlaskiej i okolic wybitnych i zasłużonych dla rozwoju miasta jego obywateli, przedstawiamy sylwetkę Juliusza Krzyżanowskiego. Imię tego lokalnego społecznika i miłośnika muzyki nosi jedna z ulic na osiedlu „Kosynierów I".

Juliusz Krzyżanowski urodził się w 1909 roku we Lwowie. Jego ojciec był nauczycielem muzyki, a matka urzędniczką. Podejmował różne prace: był m.in. szlifierzem marmurów, urzędnikiem u rejenta w Warszawie, następnie polerownikiem galanterii drzewnej i rzeźb w Bukowinie Tatrzańskiej.

W fabryce samolotów
Kiedy w 1923 r. powstała w Białej Podlaskiej Podlaska Wytwórnia Samolotów (uruchomiona w 1924 r.), znalazło w niej zatrudnienie prawie pięćset osób. Wśród nich był Juliusz Krzyżanowski. Pracował tam jako księgowy aż do 1939 r., kiedy to prace zakładu przerwało 4 września bombardowanie Luftwaffe.
W 1931 r. powstała Spółdzielnia Pracowników Podlaskiej Wytwórni Samolotów w Białej Podlaskiej. Z wypisu z rejestracji statutu odnotowujemy: „Cel spółdzielni – kupno i sprzedaż artykułów spożywczych i galanteryjnych". Rok później spółdzielnia została przyjęta do Związku Spółdzielni Spożywców Rzeczypospolitej Polskiej w Warszawie. Po zniszczeniu wytwórni samolotów straciła jednak swoją siedzibę i głównego kredytodawcę, a jej członkowie stałe miejsce zarobkowania. W 1941 r. walne zebranie członków zmieniło dotychczasową nazwę na Spółdzielnię Spożywców Przyszłość. W dwa lata później władze okupacyjne postanowiły administracyjnie włączyć ją do Powiatowej Spółdzielni Rolniczo-Handlowej w Białej Podlaskiej, gdzie księgowym był wówczas Juliusz Krzyżanowski. Wkrótce został członkiem rady nadzorczej, a od 1 września 1945 r. członkiem zarządu spółdzielni. Od 1950 r. był jej długoletnim prezesem.

Życie kulturalne w spółdzielni
W 1953 r. spółdzielnia została przejęta do działającej na terenie miasta Powszechnej Spółdzielni Spożywców, co przyczyniło się do jej rozwoju w następnych latach. Niezwykle sprawnie kierowana przez prezesa Juliusza Krzyżanowskiego stale powiększała swój majątek, jak również liczbę członków.
W końcu odezwało się zamiłowanie Krzyżanowskiego do muzyki, które wpoił mu w domu rodzinnym ojciec. W trosce o rozwój kulturalny wsparł w kwietniu 1954 roku utworzenie przez Tadeusza Mroczkowskiego, kierownika sekcji społeczno samorządowej, kameralnego 14-osobowego chóru. Od początku Juliusz Krzyżanowski był jego opiekunem, ale też uczestnikiem. Chór ten działa do dziś i w składzie już 40-osobowym pod nazwą Chór Społem jest nieodłącznym elementem działalności spółdzielni, śpiewa i rozsławia ją oraz miasto. Jako jedyny chór spółdzielczości spożywców brał udział w 2004 roku w V Międzynarodowym Przeglądzie Spółdzielczych Zespołów Artystycznych Tęcza Polska w Polanicy Zdroju.
Juliusz Krzyżanowski do 1972 roku pełnił funkcję prezesa bialskiej spółdzielni. W chórze udzielał się aż do swojej śmierci w 1989 r.

JAK TO NA PLENERKU ŁADNIE...

CZYLI WARSZTATY PLASTYCZNE W BIECZU

tekst Roman Pieńkowski

Jak co roku, młodzież z koła plastycznego „Gwasz", prowadzonego przeze mnie w obecnym Bialskim Centrum Kultury od blisko 25 lat (jubileusz za rok), pojechała w połowie lipca na dwutygodniowe warsztaty plastyczne, stanowiące rodzaj „kropki nad i", dla całorocznej pracy twórczej w ramach cotygodniowych zajęć. Tym razem pojechaliśmy do Biecza. Istotą warsztatów jest ich twórczy charakter. Program przewiduje pracę w kilku technikach plastycznych, gdzie od wielu już lat dominują techniki graficzne. Plenery mają także charakter poznawczy. Umożliwiają dotykanie wszelkich ciekawostek związanych z miejscem pobytu, jak historia, specyfika architektury i pejzażu. Od kilku lat stało się tradycją, że warsztaty plastyczne prowadzą ze mną „kółkowe emerytki" – tak żartobliwie nazywam moje byłe kółkowiczki, aktualnie studiujące na artystycznych uczelniach. Jako bywalczynie wcześniejszych plenerów, doskonale wiedzą, o co w nich chodzi, a jednocześnie mogą wykorzystać wiedzę zdobywaną na studiach i podzielić się nią. W tym roku rola ta przypadła bardzo uzdolnionej i niezwykle sympatycznej Joli Bańkowskiej, absolwentce pierwszego roku Wydziału Grafiki warszawskiej ASP.

W drogę...

Dojazd do Biecza nie był łatwy, sumując przesiadki, „zaliczyliśmy" ich aż pięć w jedną stronę. Walizy i torby podróżne, wypchane do granic możliwości, „wędrowały" schodami przejść podziemnych, „wskakiwały" do wagonów przy niemałym trudzie ich właścicielek (na czternaścioro uczestników tylko jeden chłopak). Wreszcie docieramy na miejsce, bus zatrzymuje się przed budynkiem Szkolnego Schroniska Młodzieżowego w Bieczu. Bardzo miła pani wicedyrektor wiedzie nas aż na przedostatnie piętro czteropiętrowego budynku i w niejednej głowie błąka się myśl, że los złośliwie przeznaczył nam najbardziej niedostępne miejsca, a mnie widok moich „dzieciaczków" przywołuje na myśl scenę z filmu „Misja", w której to główny bohater, w ramach pokuty, wciąga na stromą górę olbrzymi tobół wypchany wojennym rynsztunkiem. Ale warto było się pomęczyć, bo na tym właśnie piętrze były najładniejsze, bardzo wygodne i świeżutko odnowione pokoje.

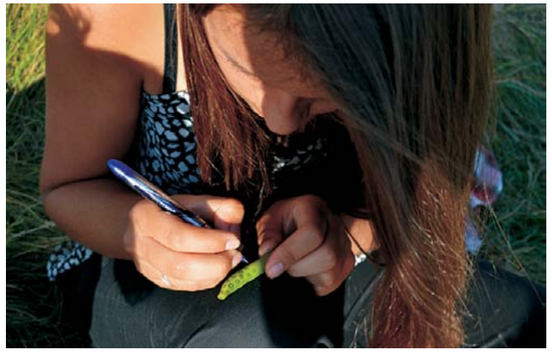

Twórcze działania czas zacząć...

Drugi dzień pobytu, a my rzucamy się w wir twórczej pracy. Nasze „dzieciaki" otrzymują zadanie wykonania szkiców z natury, które w dalszym ciągu posłużą do stworzenia na ich podstawie właściwych prac. Mamy znakomite warunki do pracy – dwie obszerne świetlicowe sale, z odpowiednią ilością stołów. Oddzielnym stanowiskiem pracy jest kącik oznaczony „szyldem" „Romex colorex" – to moje stanowisko do mieszania farb drukarskich, których używamy do wykonywania barwnych grafik, a „firmową" nazwę wymyślono na poprzednim plenerze. Muszę przyznać, że po wielu godzinach spełniania życzeń czternaścioro osób, co do tonacji i jasności koloru farby, czuję przemożną chęć ucieczki. Ale sprawę trzeba doprowadzić do końca... Nie chcę zbyt szczegółowo rozpisywać się na temat technik i konwencji, w jakich powstały prace, gdyż zostaną one pokazane w październiku na powarsztatowej wystawie w górnej części Galerii Podlaskiej. Już teraz zapraszamy na wernisaż, 4 października o godz. 18.

Jest pewna prawidłowość powtarzająca się na wszystkich warsztatach. Najpierw jest etap niepewności, czy się podoła, sprosta wyzwaniom, oczekiwaniom prowadzących. Kiedy szkice zaczynają nowe życie, jako piękne, kolorowe plamy graficzne, które się uzupełniają wzajemnie, tworzą coraz bardziej skonkretyzowane kompozycje, zaczyna się pojawiać duch bojowy, zaczyna się ostra walka o efekt końcowy. I wtedy czas przestaje istnieć, chce się sprawę doprowadzić do końca, chociaż już późno, a zmęczenie wielogodzinną pracą daje znać o sobie. A gdy dzieło skończone, jest wspaniałe uczucie, że twórczy wysiłek nie poszedł na marne.

Tuż obok nas...

Poza twórczą pracą istnieje ta cała reszta zjawisk składających się na całość pleneru. Odwiedzamy miejscowe muzea. Eksponaty budzą zainteresowanie, jest dużo miłej zabawy w rozszyfrowywaniu, do czego służyły te, niegdyś codziennego użytku, dziś już nieznane przedmioty i narzędzia. Dział aptekarstwa jest imponujący; kilka sal wypełnionych jest umeblowaniem dawnych aptek, niezliczonymi pojemnikami na mikstury, zioła, piguły,

odczynniki itp. Mnóstwo tu przyrządów o nieznanym przeznaczeniu, bo nawet nazwa niewiele czasem mówi. Podobnie jest w dziale rzemiosła. Piękny zbiór instrumentów muzycznych też robi na nas duże wrażenie.
Z wieży widokowej, na którą wchodzi się po dwustu iluś tam stopniach, rozciąga się piękny widok na falujący pejzaż z rzeką Ropą, w dali widać błękitne pasmo Beskidu Niskiego, a pod nami – miasteczko w całej swojej krasie.

Binarowa

Któregoś dnia wybraliśmy się do Binarowej – wsi położonej około trzech i pół kilometra od Biecza. Celem przyjemnego spaceru było zwiedzenie drewnianego, krytego gontem kościoła z 1500 r. Jego wnętrze pokrywa świetnie zachowana polichromia. Tak się złożyło, że w jednej z technik na naszych warsztatach zastosowaliśmy złocenie za pomocą płatków specjalnej folii pozłotniczej. Tu, w kościele, gdzie było mnóstwo elementów dekorowanych tą techniką, miałem okazję opowiedzieć o rodzajach pozłoty, sposobach jej stosowania, polerowania itp.
„Dzieciaczki" nie mogły odżałować, że w powrotnej drodze musieliśmy spieszyć się na obiad, gdy tymczasem na mijanej przez nas łące polegiwały objedzone trawą krowy, które miały nam, według wcześniejszego planu, pozować do rysunków. Ciekawe, czy modelki były zawiedzione, że nie wyszło?..

Zwiedzamy Troję (tę karpacką oczywiście)

W odległości dziesięciu kilometrów od Biecza znajduje się Karpacka Troja, skansen powstały na miejscu dawnego grodziska z epoki brązu. Zwiedzanie poprzedza projekcja filmu o historii miejsca i pracach archeologicznych w nim prowadzonych. Następnie przechodzi się do wystawy wykopalisk, uzupełnionej pięknie zaaranżowanymi instalacjami przedstawiającymi życie mieszkańców grodu. Są tu sceny z codziennego życia, a więc różne prace domowe, pochówki i inne obrzędy, jest nawet scena bitwy. Później następuje zwiedzanie odtworzonych wiernie chat i fragmentów obwarowań. Można było po drodze spróbować miodu u pszczelarza, co też chętnie uczyniliśmy, ale wcześniej trzeba było wysłuchać ciekawej opowieści o dawnym pszczelarstwie.

W jednej grupie

Wieczory trzeba było jakoś zagospodarować, z czym nie było żadnego problemu. Grupę plenerową cechują niezwykle przyjazne relacje. Tu nie czuje się różnic wiekowych ani niczego, co stwarza jakiekolwiek podziały. Było śpiewanie piosenek przy ognisku lub pod ogromną, rozłożystą wierzbą, pod którą można było się schronić jak pod wielkim namiotem. Ulubioną zabawą były też kalambury, koniecznie w pokoju pana Romka, bo jakoś tak się utarło, że to najlepsze miejsce do tego celu. No i jeszcze jedno niezwykłe zjawisko, które bardzo wydatnie ubarwiło plener.

Nasza górka

Tuż za miastem jest trawiasta górka, z której rozciąga się piękny widok na miasto i okolice. Cała nasza grupa rozsiadała się wygodnie w bujnej trawie. Można było wgapiać się w rozciągające się na wiele kilometrów widoki, prowadzić pogwarki, żartować. Dziewczęta plotły wianki z chabrów i rumianków, w których wyglądały pięknie, jakby wyjęte z innej epoki. Górkę odwiedzaliśmy kilkakrotnie, bo tam naprawdę można było się zrelaksować, a obserwowanie z niej zachodów słońca było prawdziwą ucztą.
Na koniec było ognisko. Jola i ja dostaliśmy piękne, wykonane przez naszych podopiecznych prezenty, takie utwory plastyczno-literackie. Pośpiewaliśmy ulubione piosenki. A już w drodze powrotnej słyszałem pytania: „Panie Romku, gdzie następny plener?" No to mamy problem... Po takim Bieczu...

Warsztaty prowadzili:

Roman Pieńkowski (Panromek) – kierownik warsztatów, założyciel i opiekun koła
Jola Bańkowska (Dżiola) – wychowawca, dobry duch warsztatów

W warsztatach uczestniczyli:

Gabrysia Aleksandrowicz, Kasia Dłużewska, Dominika Głuszczuk, Małgosia Głuszczuk, Monika Kozłowiec, Natalka Kozłowiec, Kasia Mazurek, Agata Pulik, Ola Sęczyk, Ania Siłaczuk, Monika Smarzewska, Marta Wyrodek, Marcelina Żurek, Oskar Kalicki.

MUNDUROWI Z PIŁKĄ

tekst Max Twardowski, foto archiwum

Od prawie 120 lat przy ulicy Prostej funkcjonuje Zakład Karny. Życie „klawisza" nie jest łatwe. Jednak w Białej Podlaskiej znaleźli idealną odskocznie od codziennego kieratu. Pracownicy z sukcesami uprawiają wiele dyscyplin sportowych. Priorytetem od wielu lat jest siatkówka i piłka nożna, jednak to nie wszystkie dyscypliny, jakie uprawiają mundurowi.

Z miłości do siatkówki w 2003 roku utworzyli klub sportowy. – Od tamtego momentu chętni pracownicy, funkcjonariusze oraz znajomi zaczęli reprezentować nasze barwy, nasze miasto oraz bialski Zakład Karny – wspomina Grzegorz Jakóbczuk.
Drużyna z powodzeniem występuje w III lidze. Zapraszana jest na wiele lokalnych turniejów. Cieszą się grą i wspólnym uprawianiem sportu. W minionym sezonie zajęli drugie miejsce w województwie i reprezentowali Lubelszczyznę w turniejach o awans do drugiej ligi. – Niestety zajęliśmy ostatnie czwarte miejsce i nie udało się nam zagrać w wyższej klasie rozgrywkowej – opowiada Jakóbczuk.
Bialczanie z powodzeniem występują także w rozgrywkach mundurowych, także w siatkówce plażowej.

Celulozowa piłeczka

Pracownicy „kryminału" grają także w tenisa stołowego. – Marian Wardzyński aktualnie gra w III lidze, Marcin Litwiniuk w I lidze. Obaj zawodnicy uczestniczą w licznych zawodach w większości z licznymi sukcesami sportowymi – z dumą podkreśla Jakóbczuk. Drużyna tenisistów Zakładu Karnego w rozgrywkach resortowych ostatnio zajęła pierwsze miejsce w województwie, następnie zdobyła mistrzostwo Polski w grze pojedynczej.

Piłka kopana

Jak prawie każdy facet kochają także piłkę nożną. Często nie mają sobie równych w rozgrywkach resortowych. Regularnie zajmują czołowe miejsca w turnieju mundurówek, który rozgrywany jest w Kodniu. Grają także w amatorskiej Bialskiej Lidze Szóstek Piłkarskich. – W minionym sezonie zajęliśmy pierwsze miejsce. Przegraliśmy tylko jeden mecz i zdobyliśmy aż 199 bramek – podkreśla Wojciech Kononiuk ZK.

Na co dzień praca

Sportowcy „klawisze" w bialskim Zakładzie Karnym mają pod opieką blisko 300 więźniów. Ponadto za murami znajduje się oddział dla tymczasowo aresztowanych oraz oddział półotwarty. W 2004 roku jednostka została rozszerzona o oddział terapeutyczny dla osadzonych uzależnionych od alkoholu. – Należy zaznaczyć, że rolą Służby Więziennej jest nie tylko wykonywanie wymierzonej kary przez sądy, ale również pomoc wszystkim osadzonym w powrocie do życia – podkreśla Paweł Waszczuk.
Uprawianie sportu jest dla nich odskocznią. Pozwala się odstresować. Zapomnieć o ciężkiej pracy. Warto podkreślić, że ich sukcesy siatkarskie w ostatnich latach są często większe niż studentów z klubu AZS AWF Biała Podlaska.

ZIOMEK Z MAKULATURY

tekst Max Twardowski
foto archiwum

Pochodzi z małego Józefowa koło Biłgoraju. Kiedy jego znajomi wybierali się na studia do Lublina czy Warszawy, on postanowił przyjechać do Białej Podlaskiej. – To była decyzja chwili. Spodobało mi się zdjęcie miasta z lotu ptaka – śmieje się dziś 25-letni Mateusz Ziomek. W tym roku otworzył swój już dobrze prosperujący lokal. „Makulaturę" odwiedza coraz więcej klientów.

Mateusz w stolicy południowego Podlasia zdobył tytuł magistra. Studiował w Państwowej Szkole Wyższej. – Dziś nieważne, czy kończy się uczelnie w małej miejscowości, czy wielkiej aglomeracji. Ważne jest to, czy jesteś dobry w swoim zawodzie – podkreśla Ziomek. Skończył pedagogikę oraz turystykę i rekreację. Dlaczego postanowił zostać tu po studiach? – Może i zarobiłbym więcej w Warszawie, ale tę nadwyżkę wydałbym zapewne na droższe niż tutaj życie – zaznacza.

Z barmana na szefa

W czasie nauki dorabiał sobie jako barman w jednym z barów przy ulicy Terebelskiej. Po studiach załapał się na pulę pieniędzy z Powiatowego Urzędu Pracy, przejął lokal, urządził po swojemu i może zaliczyć pierwsze sukcesy. – Mam już sporo stałych klientów, a tacy są bardzo ważni – chwali się. Bar postanowił przejąć ze względu na sentyment do osiedla. Tam poznał mnóstwo ludzi, którzy mu pomogli.

„Makulatura" to lokal nastawiony na pozytywnych ludzi. Nie tylko tych, którzy chcą spędzić wiezór przy piwku. W lokalu można skorzystać z księgozbioru, jest popularna prasa, internet, organizowane są wieczory filmowe. Jest także oferta dla kibiców. W lokalu można obejrzeć najważniejsze mecze. Ziomkowi udało się zorganizować koncert akustyczny oraz wystawę kwiatów z krepiny. Zainteresowanie rękodziełem jest tak duże, że niedługo odbędą się warsztaty tej techniki robienia ozdób.

Książka zamiast automatu do gier

Samo logo daje dużo do myślenia. – To pewna gra słów. Z daleka, klient widzi samo słowo „kultura", dopiero przy wejściu odkrywa całą nazwę – opowiada Mateusz. Według opinii gości, robi wrażenie. Z kulturą związana jest pewna anegdota. W miejscu, gdzie kiedyś stała maszyna do gier, teraz postawiłem regał z książkami. – Wielbiciele hazardu, gdy tylko to widzą, uciekają jak diabeł pokropiony święconą wodą – śmieje się.

Internetowe party

Mateusz niedawno nawiązał współpracę z podobnym lokalem w Radzyniu Podlaskim. Jego marzeniem jest zorganizowanie równoległej imprezy w dwóch pubach. Obraz transmitowany będzie przez kamerę i wyświetlany na telewizorach. – Może to dziwny pomysł, ale mam nadzieję, że uda mi się go zrealizować – zwierza się właściciel baru.

Papierologia

Jak opowiada Ziomek, bardziej bał się przebrnięcia biurokracji związanej z otwarciem firmy i otrzymaniem dotacji niż z samym prowadzeniem lokalu. – Jeżeli nie wierzysz w swój pomysł, nie ma sensu go realizować – twierdzi.

– Dziś mogę powiedzieć, że niczego nie żałuję i jeśli miałbym podjąć taką decyzję jeszcze raz, nie wahałbym się i przyjechał do Białej Podlaskiej. Nie mi oceniać, czy znajomi, którzy wyjechali do dużego miasta, osiągnęli więcej. Ważne, że ja czuję się spełniony – podsumowuje Mateusz Ziomek.

FELIETON

PLAŻA NA BETONIE

tekst Edyta Tyszkiewicz

Lato wprawdzie chyli się ku końcowi, ale pogoda wciąż sprzyja pobytom na świeżym powietrzu, a szczególnie rozrywkom na łonie natury. Nie zamierzam jednak pisać o grillach, piknikach i ilościach wypijanego piwska, a o odrobinie ruchu i o moich bliższych i dalszych znajomych. O budowlańcach, sprzedawcach, listonoszach i bezrobotnych, którzy co wieczór zbierają się na pewnym boisku, by grać w siatkówkę plażową (duży plus dla dyrekcji tej szkoły za udostępnienie całego placu szkolnego w czasie wakacji).

Ten chlubny rytuał zainicjował mój osobisty mąż z moim osobistym bratem, zaraz po tym, gdy w tamtym roku na szkolnym placu wyspano sporo żółciutkiego piachu i rozwieszono siatkę. Początkowo nie było łatwo namówić ludzi na to, by zaraz po ciężkiej pracy wpadli na boisko, by znów się męczyć, tylko trochę inaczej. Dlatego koniec końców mecze odbywały się tylko w niedzielne popołudnia. Za to w tym roku, już od czerwca spora grupa zapaleńców przychodzi na boisko co dzień.

Składy są różne, tak jak i liczba chętnych. Czasem gra dwanaście osób, a czasem trzeba robić trzy drużyny i rozgrywać turnieje. Wiek też mamy zróżnicowany. Tak od trzynastu do czterdziestu kilku lat, a to, co w tym wszystkim jest najfajniejsze, to że przychodzą tu całe rodziny. Dzięki temu tworzy się taki cowieczorny rodzinny piknik. Jest wesoło, gwarnie, są też emocje. Jest po prostu fajnie. Bywa, że jakaś matka czy ojciec muszą zejść z boiska w trakcie rozgrywki, bo małe dziecko chce siku. I co z tego? Nie gramy przecież o złote kalesony.

Często obserwują nas ludzie, przechodzący chodnikiem. Dziwią się, uśmiechają i chyba też trochę podziwiają. Niekiedy zdarza się, że po takich obserwacjach, ktoś w końcu podejdzie i spyta nieśmiało, czy może zagrać. Jasne, przyjmujemy każdego!

Często słyszę, że czasy są ciężkie, że nuda, że nie stać nas na wiele rzeczy, że dzieciaki tylko przy komputerze siedzą itd., itp. Jasne, to wszystko prawda. Wiemy to najlepiej my, bezrobotni, budowlańcy, sprzedawcy i listonosze, ale takie biadolenie nic nie zmieni. Na wiele spraw nie mamy wpływu, ale te, na które mamy, staramy się zmieniać. Skoro nie stać nas na jakieś fajne wakacje, to sami organizujemy sobie lato w mieście. I niech mi ktoś powie, że nie można. Można, a nawet trzeba! Wychodzić z domów, ruszać się, pokazać dzieciom dobrą zabawę, pośmiać się i być między ludźmi. Kiedy patrzę na tych „staruszków", kiedy ręka w rękę z „młodziakami" rzucają się na piłkę, to czuję autentyczną dumę, że nie godzą się na zasiedzenie przed telewizorami, na nudę. Cieszę się, że wszyscy niezależnie od wieku potrafią się razem świetnie bawić. Podziwiam też te małe dzieciaki (od trzech lat wzwyż), że mają tak dużo wyrozumiałości dla „rodzicielskich fanaberii" i same doskonale organizują sobie czas na świeżym powietrzu (oczywiście pod czujnym okiem tych, którzy akurat nie są na boisku).

Za chwilę jesień. Nieprzychylna aura coraz częściej będzie trzymać nas w domu, ale tego lata tak mocno naładowaliśmy się pozytywną energią, że łatwiej przetrwamy te coraz krótsze i coraz smutniejsze dni. A za rok znowu „siatka".

RECENZJA

EMILY GIFFIN „DZIECIOODPORNA"

Claudia i Ben to dwoje ludzi, którzy idealnie do siebie pasują, którzy dobrali się do siebie jak w korcu maku, wreszcie tacy, którzy byli sobie na pewno pisani. Bardzo szybko pobierają się, a ich małżeństwo jest cudowne. Jednak pewnego dnia pojawia się pewien zgrzyt, tak duży, że małżonkowie podejmują decyzję o rozwodzie. Tym, co ich poróżniło, jest zmiana zdania w sprawie dziecka. Ben nagle pragnie dziecka, a Claudia nie jest w stanie tego zaakceptować. Nigdy nie chciała mieć dzieci i do tej pory Ben się z nią zgadzał. Oboje cierpią, ale próbują żyć dalej, czy jednak uda im się to życie w pojedynkę? Byli przecież idealnymi połówkami jabłka (lub pomarańczy w zależności od szerokości geograficznej). Czy ludzie przeznaczeni sobie mogą rozstać się z powodu różnicy zdań, czy naprawdę nie są w stanie zrezygnować z części siebie, byle tylko być razem? W każdym razie ja się nie zarzekam i staram się nigdy nie mówić „nigdy". Nie podpowiem, jak kończy się ta historia, jeśli któraś z pań zechce (to zdecydowanie książka kobieca), to na pewno o tym przeczyta.

O Emily Giffin i jej książkach czytałam same pozytywne opinie, ja jednak mam trochę mieszane uczucia. Oczywiście nie do podejścia do tematu i całej historii, bardziej do pewnych rozwlekłych opisów. Książka ma prawie 400 stron, a spokojnie mogłaby mieć dużo mniej, wystarczyłoby tylko wyrzucić z niej te kilkustronicowe opisy wypadu na zakupy w poszukiwaniu sukienki czy szykowania się na randkę. Strasznie mnie to nudziło i ledwo brnęłam dalej, gdy musiałam czytać krok po kroku, co robi bohaterka przed swoją pierwszą po rozwodzie randką. Pewnie czepiam się tylko, bo nie przepadam za typowo kobiecymi książkami, a ta właśnie taka jest. Koniec końców, tak gdzieś od dwieście pięćdziesiątej strony czytało mi się przyjemnie i nawet jestem zadowolona, że zapoznałam się z Emily Giffin i jej stylem.

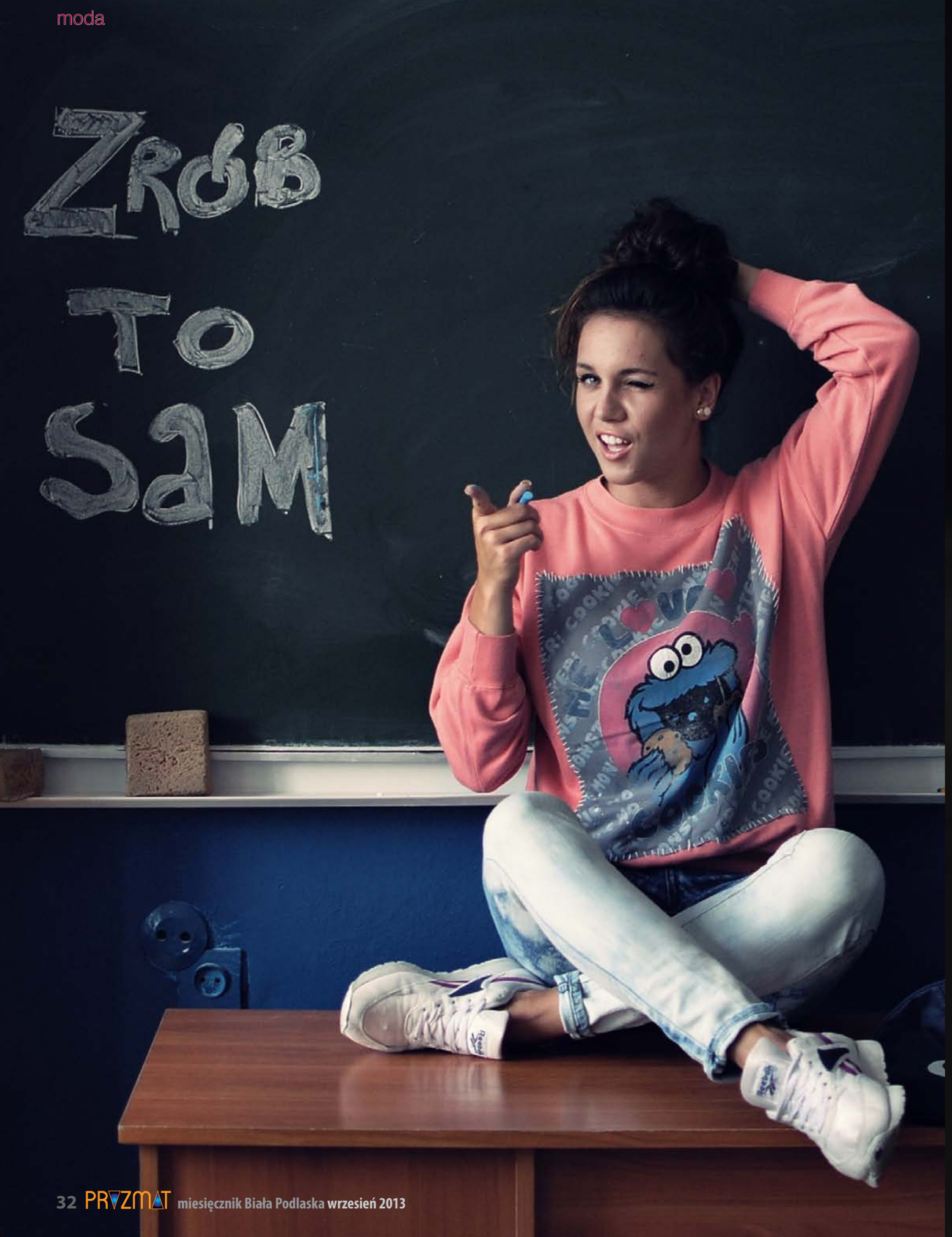

tekst stylizacje i modelka
Patrycja Prudaczuk (vel Patij DIY)
foto Angelika Żeleźnicka

szkoła

Wszystko, czego potrzebujesz, to stare jeansy, nożyczki, igła z nitką... I odrobinę kreatywności oraz wyobraźni. Ach, zapomniałam – chęci również. Nic więcej. Właśnie tyle potrzebujesz, by stworzyć coś z niczego.

Coś, co przeleżało pod stertą kurzu na strychu, może mieć nową duszę! To Ty możesz obdarzyć je nowym życiem... Nie musisz być światową fashionelką. Nikt nie każe Ci śledzić wszystkich trendów prosto z mediolańskich wybiegów.
Nigdy nie powiedziałam, że znam się na modzie. Pewnie nigdy tego nie powiem. To, co robię, jest zabawą (DIY – do it yourself – z ang. zrób to sam).
Zaczęło się niewinnie, od skrócenia starych spodni jeansowych... Skróciłam, coś gdzieś podszyłam, o. Mogą być!
Tu inwencja zależy od Ciebie. Nikt nie wyznaczy Ci granicy, w jakiej możesz operować nożyczkami. Teraz nie tylko skracam stare jeansy, ale dekoloryzuję je albo testuję barwniki, doczepiam ćwieki, podszywam różne materiały, falbanki, frędzle, a nawet maluję wzory pisakiem do tkanin. Nie tylko na szortach. Moje pole działania objęło już np. rozweselanie bluz przyszytymi nadrukami :)
Zbliża się nowy rok szkolny. Nawet tam możesz wyróżnić się oryginalnymi ubraniami, które nie będą pełne przepychu – co nie przystoi w szkole, ale każde z nich zachowa nietypowy charakter oraz każde będzie jedyne w swoim rodzaju i niepowtarzalne.
W tych stylizacjach znajdzie się coś ode mnie. Przedstawiam Wam dwa sety na ten pierwszy dzień rozpoczynający nowy rok szkolny.
Bluzka w pepitkę została obdarowana rockowym charakterem dzięki kilku srebrnym ćwiekom na kołnierzu, idealnie łącząc się z czarną miniówą z fragmentem skórzanego materiału. Jeden element diametralnie może zmienić grzeczny strój na coś, co wyróżni Cię z tłumu.
Również w kolejnej eleganckiej stylizacji znajdziesz

ćwieki na kołnierzu koronkowej koszuli.
Ona, wyłaniając się spod kombinezonu, podkreśla wagę pierwszego dnia szkoły.
Kolejne dwie stylizację przedstawiają bluzy mojego wykonania, czyli DIY. Pierwsza łososiowa z cisteczkowym potworem połączona z jeansami ombre (również DIY) stwarza luźny, typowo szkolny oraz wygodny strój typu sportowego. Druga natomiast, „32" zestawiona z elegancką koszulą z podwiniętymi i poszarpanymi szortami (DIY) oraz butami w męskim stylu (creepersy) to zestaw dla odważniejszej dziewczyny, która lubi mieszać style.
Szorty z azteckim wzorem (DIY), koszulka z własnym napisem (DIY), marynarka? Dość dziewczęcy look, kolorowy z odrobiną romantyzmu, który nadaje wpleciona chustka w kok na głowie.
Ostatnia do zaprezentowania stylówa ma na sobie, uwaga... spodnie dresowe z koszulą ombre z ćwiekami oraz pagonami w militarnym stylu. Do tego sztyblety (buty z wyższą cholewką) i na 100 proc. każdy zauważy Cię na ulicy, idącą do szkoły.
Bardzo proste sety, a jednak DIY jest sposobem na podrasowanie szkolnego looku. Baw się, próbuj! Za pierwszym razem może nie wyjdzie tak, jak sobie zaplanowałaś. Nie zniechęcaj się. Kolejna próba będzie o wiele bardziej udana, zapewniam Cię!

U KASI LEPIEJ NIŻ W DOMU

tekst i foto Małgorzata Tymoszuk

Trudno chyba zliczyć, ile razy już tam jadłam, a zaliczyłam prawie wszystkie potrawy. I wracam tam... Wolę lekko przymrużać oczy i nie patrzeć na dość obskurny wystrój wnętrza (nawet nie wiem, czy mam prawo nazwać go „obskurnym"). To totalne bezguście z czasów PRL z pretensjonalnymi zbieraczami kurzu na parapecie w postaci ogromnych sztucznych kwiatów, które pasują do każdej pory roku, jak człowiek się uprze. Duch poprzedniej epoki zderza się tu ze współczesnością w postaci zestawów plastikowych solniczek i pieprzniczek z logo Cappy i Coca-Coli. Z czasów dawnych knajp – na metalowej tablicy jest wywieszone menu, składające się z wyjmowanych plastikowych prostokącików z propozycjami dań.

Mieści się tam z dziewięć stolików. Jest smacznie, niedrogo i szybko, a pan Stasio czaruje jak zwykle swoją bezpretensjonalnością, zawsze usłyszę jakiś „joke". Menu jest prawie niezmienne – tak jak pan Stasio za barem. W sobotę jest coraz mniej dań do wyboru, zazwyczaj wszystko już „wychodzi", sugeruję więc odwiedziny w dni robocze do godz. 17.00.

Co polecam? Zupy! Pyszne, domowe, duże porcje i tanie jak barszcz, który osobiście odradzam. To chyba zalany wrzątkiem sproszkowany koncentrat słoiczkowy, ale do niego krokiety z pieczarkami i kapustą, panierowane w chrupiącej bułeczce – mniam, mniam! Moją faworytką wśród zup jest pomidorowa (nawet ta w wersji mniej kalorycznej: bez makaronu) i flaczki. Jednak zawsze brakuje mi tej temperatury wrzenia zupy. Marzę, by była tak gorąca, by móc jeszcze na płyn w łyżce podmuchać. No cóż ten typ, tak ma. Ceny od 4 PLN.

Pierogi polecam wszystkie, jakie tylko są dostępne. Są duże, wypełnione po brzegi znakomitym farszem, a jeszcze hojnie polane tłuszczem i obłożone boskimi skwareczkami! O tak! Ciasto jest cieniutkie i jasne ze ślicznie wyrobioną falbanką na brzegu. Ceny sześciu pierogów w porcji wahają się od. 4,50 PLN. Preferuję ruskie. Są cudownie doprawione!

Moim czarnym koniem jest kotlet po cygańsku. Duży, cieniutki i chrupiący kawałek pysznego schabu pod ciężarem wspaniale wysmażonej cebuli – to się je i chce się jeszcze więcej. Cena: 8 PLN.

Moja latorośl da się z kolei pokroić za mielony z Kaśki (cena: 6 PLN). Jest duży, miękki i tłusty! Taki jak kotlet niedzielny mojej babci.

Do wszystkiego pasuje rewelacyjne przyrządzona surówka z czerwonej kapusty. Musiała zostać z należytą czcią potraktowana solą i być lekko ugniecio-na, bo jest miękka, a jednocześnie zachowała swoją kruchość. Cena: 3 PLN.

Osobom spieszącym się nie polecam wątróbki wieprzowej. Wiadomo, że dobrze wysmażona musi przejść swoje na patelni. Średni czas oczekiwania to nawet 25 minut. Jest podawana z przysmażoną cebulką i trochę jest przytłusta. Jak do tej pory zawsze trafiałam na twardy kawałek. Może wzbogacić ją i trochę odświeżyć jabłkiem? Cena za 100 g – 4,50 PLN. Ta cebulowa pierzynka zarówno na wątróbce jak i na cygańskim jest taka sama. A może małym kosz-tem dałoby się wprowadzić niewielką rewolucję i zaproponować konfiturę z cebuli?

W Kaśce fajne są naleśniki (z serem na słodko lub dżemem, ozdobione dużym kleksem słodkiej śmietany), ciasto jest genialne: cienkie i delikatne. Tylko porcja składająca się z 1 samotnego naleśnika (za 4-5 PLN), to zdecydowanie za mało, jak dla mnie...

Latem godne polecenia jest coś lekkiego na ząb, jak najbardziej pasującego do pogody, czyli chłodnik! Gęsty z chrupiącą rzodkiewką, koperkiem i młodą botwinką! Pyszny!

Z napojami za wiele nie poszalejemy: przesłodzony kompot jabłkowy ze zbyt silnym aromatem goździków (1,5 PLN), nazywany napojem firmowym, herbata czy „pluta" kawa. Oprócz tego standardowe napoje butelkowe i superwoda mineralna gazowana „Bystrzyca" z dawną etykietą papierową z zaznaczoną datą produkcji w postaci „zadziorka" przy cyfrach, świetnie zmineralizowana (szczypie w język za każdym razem (za 1 PLN).

NA RUCH NIGDY, NIE JEST ZA PÓŹNO

Społeczna akcja Klubu Fitness FORMA

tekst Aldona Kopczyńska, dietetyk, Klub Fitness FORMA
foto archiwum

AKTYWNA SENIORKA 30-dniowy bezpłatny program treningowy Każdy z nas chce jak najdłużej zatrzymać młodość i cieszyć się życiem. Aktywny, zdrowy styl życia to niewątpliwie klucz do sukcesu. Seniorko! Na ruch nigdy nie jest za późno, zwłaszcza w okresie tzw. jesieni życia.

Fakt, że dzięki regularnym ćwiczeniom można cieszyć się pełną sprawnością także w dojrzałym wieku jest niezaprzeczalny. Aktywność ruchowa polecana jest seniorom przez lekarzy, często jako niezastąpiony element leczenia lub ważne uzupełnienie terapii.
Osoby poświęcające regularnie czas na ćwiczenia fizyczne dożywają wyższego wieku, a choroby cywilizacyjne dotykają ich w znacznie mniejszym stopniu. Według amerykańskich naukowców z University of Carolina, o wiele większą rolę w życiu człowieka odgrywa ruch niż kilka kilogramów nadwagi. Obserwując stan zdrowia osób powyżej sześćdziesiątego roku życia, zauważyli coś bardzo istotnego: ci, którzy byli sprawni fizycznie, posiadali mniejsze ryzyko problemów zdrowotnych niż ci, którzy mniej się ruszali i wykazywali gorsze wyniki w trakcie testu obciążeniowego.

Korzyści płynące z aktywności ruchowej:
Według badań Światowej Organizacji Zdrowia z aktywności fizycznej osób starszych wynikają następujące korzyści:
•poprawa psychicznego i fizycznego stanu zdrowia
• minimalizacja stanów bólowych
• profilaktyka cukrzycy i miażdżycy, otyłości i choroby zwyrodnieniowej stawów
• zmiana stereotypu osoby starszej, pozwalająca na zachowanie większej niezależności
• lepszy sen – regularne ćwiczenia pomogą ci szybciej zasnąć
• poprawa ogólnego samopoczucia, wzrost pewności siebie
• przyjemność i radość z wykonywanego wysiłku fizycznego
• poprawa zdrowia psychicznego oraz obniżenie poziomu stresu, lęków, obaw, depresji
• poprawa jakości życia przez zachowanie niezależności i samodzielności
• aktywne uczestnictwo w życiu społecznym.

Wskazówki na dobry początek:
• zdecyduj, dlaczego chcesz ćwiczyć – doskonałym powodem jest, zachowanie dobrego zdrowia, sprawności i niezależności
• bądź obowiązkowa – wykonuj ćwiczenia regularnie!
• zawsze zaczynaj od rozgrzewki, a kończ uspokojeniem i rozciąganiem
• przerwij ćwiczenia, jeśli odczuwasz dyskomfort lub ból
• pamiętaj, że w zależności od dziennej dyspozycji Twoje możliwości mogą się zmieniać – nie zniechęcaj się, jeśli nie możesz zrobić tego, co nie sprawiało Ci problemu dzień wcześniej
• jeśli po zajęciach czujesz zmęczenie trwające dłużej niż jedną lub dwie godziny, spróbuj zmniejszyć nieco intensywność ćwiczeń
• skoncentruj się na ćwiczeniach, które mają za zadanie poprawić zakres ruchów w stawach i zachować elastyczność ciała
• zaakceptuj swoje ograniczenia. Zamiast skupiać się na tym, czego nie możesz zrobić, zastanów się, co możesz. Pozytywne nastawienie przynosi pozytywne rezultaty!

Zajęcia AKTYWNA SENIORKA
To gimnastyka rehabilitacyjno-zdrowotna, dostosowana do wieku uczestników z uwzględnieniem profilaktyki chorób wieku dojrzałego. Proces starzenia zaczyna się już po 25. roku życia, a szybkość tych procesów zależy przede wszystkim od naszego stylu życia. Jest to proces nieuchronny, ale aktywność fizyczna może znacznie spowolnić proces zaniku tkanek i starzenia się komórek organizmu.

Zajęcia Aktywna Seniorka pokazują, że nawet po 70-ce, można poprawić swoją sprawność, wzmocnić mięśnie i zwiększyć ich objętość. Aktywność w wieku dojrzałym to poprawa jakości życia, łatwość wykonywania codziennych obowiązków i lepsze samopoczucie. Aktywna Seniorka to zajęcia specjalnie opracowane dla osób starszych - gimnastyka połączona z umiarkowanym treningiem siłowym. Tego typu trening zwiększa masę i siłę mięśni, tym samym usprawnia ruchowo, ma korzystny wpływ na gęstość kości, co ma szczególne znaczenie dla osób zagrożonych lub chorych na osteoporozę oraz jest bezpieczny dla stawów i kręgosłupa.

Gimnastyka dla osób starszych prowadzona jest w odpowiednim tempie, zawsze dostosowanym do możliwości ćwiczących. Zawiera ćwiczenia istotne ze względów fizjologicznych: wzmocnienie dna miednicy, profilaktyka osteoporozy, wzmocnienie mięśni okołokręgosłupowych, kształtowanie poczucia równowagi, przeciwdziała sztywnieniu stawów. Zalecane treningi, to 2-3 razy w tygodniu. Jak w każdym wieku ćwiczenia powinny przede wszystkim sprawiać nam przyjemność i być systematyczne. Nawet na emeryturze człowiek może nauczyć się nowych rzeczy i mieć sprawność do pozazdroszczenia.

Biała Podlaska, dnia 7 września 2013 r.

NARODOWE CZYTANIE

ALEKSANDER FREDRO

Z INICJATYWY PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ BRONISŁAWA KOMOROWSKIEGO

7 WRZEŚNIA 2013

NARODOWE CZYTANIE UTWORÓW ALEKSANDRA FREDRY

Serdecznie zapraszamy mieszkańców miasta Biała Podlaska do udziału w ogólnonarodowym przedsięwzięciu. Czytanie wierszy i „Zemsty" Aleksandra Fredry organizujemy 7 września 2013 r. o godz. 17.00 w Parku Radziwiłłowskim. Zachęcamy bialczan do zabrania ze sobą utworów Aleksandra Fredry. Wszystkie przyniesione egzemplarze zostaną opieczętowane specjalną okolicznościową pieczęcią.

Imprezę zakończy uroczysty polonez i degustacja weselnego tortu Klary i Wacława.

ORGANIZATORZY

Bialskie Centrum Kultury, Miejska Biblioteka Publiczna, Muzeum Południowego Podlasia w Białej Podlaskiej

Biała Podlaska, dnia 7 września 2013 r.

NARODOWE CZYTANIE

ALEKSANDER FREDRO

Park Radziwiłłowski godz.17.00

OBSADA:

„Paweł i Gaweł": Fryderyk Zdunkiewicz, Kacper Trocewicz, Jan Zdunkiewicz

„Małpa w kąpieli": Konstancja Skrodziuk

„Osiołkowi w żłoby dano": Weronika Stańczuk

„Zemsta"

Cześnik: Edward Burta, Andrzej Czapski, Grzegorz Michałowski,

Rejent: Adam Korszun, Ryszard Burczak, Henryk Szpura,

Papkin: Tadeusz Humin, Maciej Buczyński, Mariusz Podgórski, Mariusz Maksymiuk,

Podstolina: Grażyna Poniatowska, Anna Kaliszuk, Halina Besaraba, Urszula Pietruczuk,

Wacław: Jakub Sielski, Adam Olesiejuk, Sebastian Ulita, Michał Litwiniuk,

Klara: Gertruda Matysek, Renata Szwed, Justyna Weremko,

Dyndalski: Henryk Buczyło, Marek Pietrzela,

Śmigalski: Filip Stańczuk,

Mularze: Lucjan Maliszkiewicz, Eugeniusz Szeszel,

Perełka: Tadeusz Kowalczuk,

Prowadzący: Katarzyna Bogusz, Hubert Paszkiewicz

Uroczysty Polonez: Zespół Pieśni i Tańca „Podlasiacy", Zespół Tańca Ludowego „Biawena" i wszyscy uczestnicy imprezy.

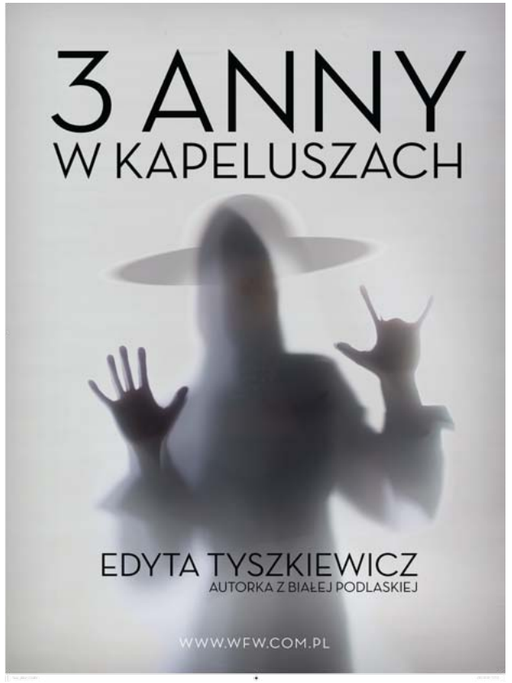

Królewska aukcja koni

foto Adam Trochimiuk

Nikt z ekspertów nie chce o tym głośno mówić, ale kupcy z Bliskiego Wschodu żerowali na kryzysie w Europie. Ich on nigdy nie dotknął, a mieli okazję do kupowania koni za stosunkowo niewielkie pieniądze.

Te czasy chyba się skończyły. Z aukcji „Pride of Poland" w janowskiej stadninie osiągnięto 2 mln euro. Ponad milion wydała Shirley Watts – żona perkusisty The Rolling Stones, choć jej mąż przed aukcją w rozmowie z dziennikarzami zachowawczo mówił, że nie wiadomo, czy coś kupią w tym roku.

Najdroższym koniem okazała się El Saghira z Janowa Podlaskiego. Sprzedano ją za 500 tys. euro. Jej nabywcą była kobieta ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Nabywców znalazło 22 z 27 wystawionych koni. W tyk roku licytowano tylko klacze. – Wynika to z zapotrzebowania hodowców – wyjaśnia Anna Stefaniuk, główny specjalista do spraw hodowli koni w janowskiej stadninie. Impreza odbyła się od 16 do 10 sierpnia.

El Saghira (Michałów) – 500 tys. euro – nabywca ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich

Belgica (Janów Podlaski) – 410 tys. euro – nabywcą jest Shirley Watts

Ekspulsja (Michałów) – 400 tys. euro – nabywcą jest Shirley Watts

Łączna kwota ze sprzedaży: 2 mln 72 tys. euro. (max)

Zarażanie pasją czytania

13 sierpnia o godzinie 13 na Placu Wolności nietuzinkowo promowano czytelnictwo. Ale nie chodziło tylko o pokazanie, że czytać warto, bo to bialczanie wiedzą dobrze. Z wszystkich agend Miejskiej Biblioteki Publicznej (która była organizatorem akcji) wypożycza się ponad półtora tysiąca książek dziennie, więc chyba nie musimy drżeć, że krąży nad naszym miastem widmo analfabetyzmu.

Jednak wydaje się, że jeszcze brakuje obecności książek w przestrzeni publicznej. Dlatego ponad sto osób zebrało się w jednym miejscu, o jednej porze, by zarazić pasją czytania również w różnorodnych zakątkach naszego miasta, w parkach, w autobusach, na placach itp. Może częściej będziemy widywać ludzi czytających gdzieś poza swoim domem.

Akcja KsięgoZbiór, o której mowa, została zainicjowana w Łodzi w 2011 r. Była odpowiedzią w realu na „facebookową potyczkę" pomiędzy profilami fanów nieczytania, a profilem „Pokażmy nieczytającym, że jest nas więcej". Dwie osoby prywatne ruszyły machinę, do której z czasem przyłączyli się łódzcy bibliotekarze, a niedługo potem także biblioteki z całej Polski. Tegoroczna edycja zrzeszyła 42 miejsca w Polsce.

I Biała Podlaska była wśród nich za sprawą Barwnej Multimedialnej Biblioteki dla Dzieci i Młodzieży. Chcemy, by nie była to ostatnia taka akcja. Może za kilka lat nie tylko schodki piramidy, ale cały Plac Wolności zapełni się czytającymi. (r)

Szlifowali głosy nad Bugiem

Przez tydzień, od 5 do 12 sierpnia, członkowie bialskiego zespołu Chwilka z Klubu Kultury Piast działającego przy Bialskim Centrum Kultury, w Serpelicach uczestniczyli w warsztatach wokalnych.

Dwudziestoosobowa grupa podopiecznych uczestniczyła w 8-godzinnych zajęciach. Każdy wokalista miał za zadanie przygotować jeden ambitny utwór. Zajęcia chóralne prowadził instruktor zespołu Ireneusz Parafiniuk. Nad poprawnością wykonywanych utworów czuwała kompozytor, nauczyciel emisji głosu, współpracująca z teatrem muzycznym Rampa Anna Bajak. Warsztaty są organizowane przy wsparciu sponsorów od dwudziestu lat, a ich głównym celem jest wspólne doskonalenie umiejętności wokalnych. Planowany koncert nauczonych utworów odbędzie się w październiku. (red)

Wakacje w Multicentrum

Wakacje w Multicentrum to był czas świetnej zabawy i rozwoju zainteresowań dzieci i młodzieży. W letnich miesiącach w Multicentrum, które mieści się w strukturach Miejskiej Biblioteki Publicznej, goszczono naprawdę sporą liczbę młodych bialczan i przyjezdnych gości. Oferta na wakacje była wyjątkowo bogata. Codziennie można było odkrywać coś nowego. Samodzielnie komponować muzykę bez znajomości gry na instrumentach albo tworzyć własne aplikacje graficzne, rozwijając przy tym swoją wyobraźnię artystyczną. Sporym zainteresowaniem cieszyły się warsztaty z klocków K'nex. Budowano skomplikowane konstrukcje, uruchamiając je za pomocą specjalnego sterownika przy pomocy komputera. Dla odkrywców i tropicieli przyrody czekały atrakcyjne zajęcia, gdzie dowiadywano się nowych wiadomości ze świata zwierząt, roślin, a także ciała ludzkiego. W laboratorium Multinauki poznawano tajemnice fizyki i chemii wykonując ciekawe doświadczenia i eksperymenty. Były także zabawy z językiem angielskim, gdzie powtarzano angielskie słówka, dobrze się przy tym bawiąc. Uczestnicy mieli szansę zdobyć wiedzę z wielu dziedzin, wykorzystując przy tym technologiczne zasoby Multicentrum. Wiele z nich uważało, że wakacyjny dzień bez Multicentrum, to był dzień stracony. (red)

OPŁATY ZA PRZEWÓZ OSÓB AUTOBUSAMI PUBLICZNEJ KOMUNIKACJI MIEJSKIEJ W BIAŁEJ PODLASKIEJ

BILETY JEDNORAZOWE	NORMALNY	ULGOWY
BILETY JEDNORAZOWE W WERSJI PAPIEROWEJ – DOSTĘPNE W PUNKTACH SPRZEDAŻY	2,80 zł	1,40 zł
BILETY JEDNORAZOWE **60 MINUTOWE** W WERSJI PAPIEROWEJ – DOSTĘPNE W AUTOBUSIE I PUNKTACH SPRZEDAŻY	4,00 zł	2,00 zł
BILETY JEDNORAZOWE PRZEJAZD **DO 6 PRZYSTANKÓW** – DOSTĘPNE TYLKO ZA POMOCĄ BILETU ELEKTRONICZNEGO	1,80 zł	0,90 zł
BILETY JEDNORAZOWE PRZEJAZD POWYŻEJ 6 PRZYSTANKÓW – DOSTĘPNE TYLKO ZA POMOCĄ BILETU ELEKTRONICZNEGO	2,40 zł	1,20 zł
BILETY WIELOPRZEJAZDOWE	**NORMALNY**	**ULGOWY**
BILETY **24 GODZINNE** W WERSJI PAPIEROWEJ- DOSTĘPNE W PUNKTACH SPRZEDAŻY	10,00 zł	5,00 zł
BILETY OKRESOWE IMIENNE	**NORMALNY**	**ULGOWY**
BILETY **7 DNIOWE** – DOSTĘPNE ZA POMOCĄ BILETU ELEKTRONICZNEGO ORAZ W WERSJI PAPIEROWEJ W PUNKTACH SPRZEDAŻY	20,00 zł	10,00 zł
BILETY **15 DNIOWE** – DOSTĘPNE TYLKO ZA POMOCĄ BILETU ELEKTRONICZNEGO	34,00 zł	17,00 zł
BILETY **30 DNIOWE** – DOSTĘPNE TYLKO ZA POMOCĄ BILETU ELEKTRONICZNEGO	60,00 zł	30,00 zł
BILETY **90 DNIOWE** – DOSTĘPNE TYLKO ZA POMOCĄ BILETU ELEKTRONICZNEGO	120,00 zł	60,00 zł
BILETY SEMESTRALNE 4 MIESIĘCZNE(WAŻNE WE WSZYSTKIE DNI TYGODNIA 01.10-31.01 LUB 01.02-31.05) DOSTĘPNE TYLKO ZA POMOCĄ BILETU ELEKTRONICZNEGO.		80,00 zł
BILETY SEMESTRALNE 5 MIESIĘCZNE (WAŻNE WE WSZYSTKIE DNI TYGODNIA 01.09-31.01 LUB 01.02-30.06) - DOSTĘPNE TYLKO ZA POMOCĄ BILETU ELEKTRONICZNEGO.		110,00 zł
BILET RODZINNY – 12 MIESIĘCZNY- DOSTĘPNY TYLKO ZA POMOCĄ BILETU ELEKTRONICZNEGO.	30,00 zł	
BILETY OKRESOWE NA OKAZICIELA	**NORMALNY**	**ULGOWY**
BILETY **30 DNIOWE** – DOSTĘPNE TYLKO ZA POMOCĄ BILETU ELEKTRONICZNEGO	80,00 zł	40,00 zł

Brak wylogowania się przy wysiadaniu z autobusu powoduje pobranie opłaty jak za przejazd powyżej 6 przystanków tj. bez uwzględnienia rabatów za ilość przystanków.

Biletu papierowego nie wolno odstępować.

Jednorazowy bilet papierowy należy zachować do kontroli.

Nie wolno łączyć biletów w celu uzyskania wyższego nominału biletu.

Bilet jednorazowy normalny i ulgowy uprawnia do nieograniczonej liczby przesiadek w czasie 30 minut od momentu skasowania biletu lub jednorazowego przejazdu całej długości wybranej trasy.

UPRAWNIENIA DO KORZYSTANIA Z BILETÓW OKRESOWYCH

Do korzystania z biletów okresowych pełnopłatnych uprawnieni są wszyscy pasażerowie.

Z biletów okresowych ulgowych mogą korzystać pasażerowie uprawnieni do przejazdów ulgowych.

Do korzystania z biletów semestralnych uprawnieni są:

1) uczniowie szkół podstawowych, gimnazjów, szkół ponadpodstawowych, policealnych i ponadgimnazjalnych, studenci szkół wyższych i wyższych szkół zawodowych – do ukończenia 25 roku życia,

2) dzieci uczęszczające do przedszkoli.

Do korzystania z biletu rodzinnego uprawnione są rodziny wielodzietne, mieszkające stale w Białej Podlaskiej pod wspólnym adresem, posiadające minimum troje dzieci własnych lub przysposobionych w wieku do 18 lat, jeżeli kształcą się dalej – do ukończenia 25 lat.

Każdemu członkowi rodziny wielodzietnej przysługuje jeden egzemplarz biletu rodzinnego. Bilet jest ważny przez 12 kolejnych pełnych miesięcy.

Obowiązuje od 1 września 2013r. za wyjątkiem regulacji, dotyczących biletu rodzinnego, które wchodzą w życie 1 lipca 2013r. Uchwała Rady Miasta nr XXVII/256/13 z dnia 27 *maja 2013r. – załącznik nr 1 § 1.*